



Y. 108

10

77



Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu



T. 1

WRO0069438

9874

**OBRAZY
LITWISKIE.**

OBRAZY LITIEWSKIE

PRZEZ

IGNACEGO CHODŹKĘ.



T O M I.



10874

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 4 0.



284-3

A 10874

Pozwolono drukować. Z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby egzemplarzy. Wilno 18 Kwietnia 1840 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

Srv. inna **A** 10874

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu



WRO0069438

T O M I.



**Domek Mojego Dziada.
Boruny.
Śmierć Mojego Dziadka.**

OBRAZ I.

DOMEK MOJEGO DZIADA.

**Służmy poczciwój sławie! a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.**

KOCHANOWSKI.

DOMEK MOIEGO DZIADA.

Gdybyś wziął martwy kamień z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do Ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trumnie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Xiężę! Kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

Króć nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc po długim oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie załało się łzą miłego rozrzewnienia, na wspomnienie osob, których w tych samych już nie ogląda izbach? a które

go tu niegdyś z pieśczołą tuliły do serca! komuż nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego gdy był dzieckiem piastunka lub go stary dziadulek karmił. Ktoż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem, choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a obecnych sercu i pamięci obu-dwóch? jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości! z jakąż roskoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinném kiedyś poglądał okiem! przybywam do domku mojego dziada.

„wszystko tak jak było

„Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te odeń w rozmaite strony wydeptane scieszki, po których dziecinna moja niegdyś bie-

gala stopa; a co najbardziej tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem Ojca rodziny, wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość gorące modły: zły człowiek który tu był zamieszkał, ogałacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruścić Krzyża, a nie zdołał głazu, i te jedyne przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.—

Przed laty kilkudziesiąt mieszkał tu pan Maciej Widmont Skarbnik od pradziadów, dziadek moy: prawdziwy *Szlachcic na zagrodzie*: patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje, tém interessowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów, zbytków i wspaniałości bogatych naddziadów na-

szych, wystawień ich cnot publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów; pomiędzy obrazami wad klasy wyższej i średniéj chcący zawsze nasładować wyższą, a do nasładowania zbytek bardziéj i nałogi, niżeli dobre wybierający przymioty; nie mamy prawie, pierworysów (type) wygasłego już pokolenia owéj niższéj i uboższéj szlachty, w którój skromnych zagrodach, przechowywały się wśród powszechnego częstokroć zepsucia jakoby w utajonym schowie; bogoboyna poczciwość, prosta i otwarta szczerść, chrześcijańska gorliwa pobożność i czyść sumnienia; przechowywał się także zapas przesądów, co wieczor w cichym powtarzanych gwarze łączących familijném że tak powiem ogniém gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezją. —

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada; z tém szczupłym mieniem był on szczęśliwy, i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Pszczolka, klaczka, i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica:

powtarzał często Pan Widmont i siedł w gospodarstwie za tém staroswieckim przysłowiem: to też dwa ogrodki iego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało zrzebiąt, i corocznie wielka część pola iego, złotym pszenicy okrywała się kłosem; a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniążków: O! dobrze pamiętam ów kuferek szczylnie okuty, w ciemnym kątku garderobki alkowej stojący; z niego to dostawały mi się często talary i

złotowki, a zawsze ze zwyczajną przestroga, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za reflexyę, przeciw zbyłecznój hojności przy każdym otworzeniu kuferka powtarzał. —

„Pamiętaj przychodzie,
Żyj z rozchodem w zgodzie.”

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica iego rozpamiętywam, chędogi na tenczas, wesoly, i ludny; dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, *pokojami* honorowie zwane, alkowkę z garderobką i bokówkę z *alkierzykiem*, bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zedłem koło pieca, i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szcurów, była miejscem najwালniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na rożaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne przy kawie rano,

snów tłómaczenie, i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wma-
wiał; jednakże sam nową często przy-
dając powieść, nauczając dawnego i
doświadczonego sposobu odpędzania
czarów, lub odkrywania zaklętych skar-
bów, niechący z własném wydawał się
przekonaniem, a kończył zawsze na
tém: *dziatki! dziatki! bez woli Boga,
nic się nie stanie!* Tu furczały wie-
cznie dwa kołowrotki, głusząc zwadkę
dwóch swięgotliwych przątek zasłu-
żonych pokojówek Jejmości; tu na-
koniec w niedziele i święta uroczyste,
Panna *Helena* córka nieboszczyka eko-
noma, do familijnéy przyswojona gro-
mady, siedząc przypiecu na zedelku, ze
spuszczonemi skromnie oczkami, cie-
niutko spiewała swiatowe piesni „*chcia-
ło się Zosi jagodek*” lub pod dobry

humor Jegomości „*Kurdesz, kurdesz, nad Kurdeszami*” Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokowki, dla nich dwa paradne były pokoje; w pierwszym z nich wielki obraz Bogorodzicy buntem błyszczących ozdobiony bisiorów, i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował scianę; pod nim bogaty relikwiarz misternéj roboty, i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste, dogadzały tu koniecznéj tylko wygodzie; drugi pokoj, o! drugi pokoj na zbytek zakrawał! Tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroswieckie w kwiaty malowane obicia, okrywały sciany, tu stolików parę niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych i filiżanka z garścią bobu na marki: tu bowiem był plac rozprawy

w codziennego nałogowego Marjasza, i świątecznego cwika. Z jakimże interessem grano gdy płatka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca *Tuza*; brać czy nie brać? okrzyk powszechny brać! brać! dodaje serca, ale płatka odzywa się Xiądz Pleban; chcący w duchu aby gracz stchorzył, a Tuz z kolei do niego przeszedł: mój dziadulek wróży w palce: raz, dwa, trzy; biorę rzekł nakoniec z Energią godną podziwienia, biorę! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy, ciche *remis* szepcze się już około stolika. — *Lepszy Pan Bóg jak Pan Rymsza!* zawoła nagle dziadunio, kto pomaga? Kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało; nikt! nikt! Xiądz proboszcz powróżył także w palce, spojrział ukosem w kartę zle strzeżoną gracza, aż tu obok *Tuza* Król w sekundach! a więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt

po raz ostatni zawołał dziadunio nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Ileż to przyjacioł w szczęściu! każdy winszuje, każdy się przechwala że koniecznie tuż brać życzył, wszyscy przyznają że Pan Skarbnik wybornie gra w cwika! a jam skakał z radości.

O ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta? Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja roskoszą niewinne serce, jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinnym jestestwem! student z Borun z jakimże uniesieniem postrzegałem z daleka gaik i dach domku w którym piękną wielkanoc przepędzić miałem. Wielkanoc święto najweselsze! Święto wiosny! Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutěj Pańskiěj wie-
 czerzy, ostatni suchar i ostatni sledź
 w wieczor ostatniěj sóboty spożyty; i
 już z bokowki, jakby pierwociny ju-
 trzejszych godów, miłe zalatywały wo-
 nie, gdy huczne salwy artyleryi xiędza
 proboszcza, dawały hasło rezurekcji:
 bieżał wnet mój dziadunio do Kościoła,
 biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła
 cała czeladź domowa; bo kto z gospo-
 darzem chciał używać darów wielka-
 nocy, modlić się wprzód z nim konie-
 cznie musiał. Powitany wesołym *Ale-*
luja dzień zaświtał wśród nabożeństwa,
 dzień piękny wiosenny! gromadnie i hu-
 czno wychodzono z Kościoła; *Chrystos*
woskres! *Chrystos* *woskres!* odzywa
 się na około; pozdrowienia te turoczy-
 ste mieszały się z wesołym gwarem
 pospółstwa, a rzeczwość, uweselenie i ra-
 dosć jaśniały na twarzach wszystkich.—

My także wracaliśmy do domu prze-

chodząc przez ulice z łubek: około każdej z nich familia poczciwych chłopków w kupkę zebrana czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas xiędzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! w pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką długi stoł okryty najsmakowitszym święconém. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę, obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnym wielkanocnym wloczebnym; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu, przez post wielki, nie pościł; szynka,



główna ozdoba możnych i chudopachol-
skich święconych stołów; przy niej, dla
zniepewnienia apetytu żarłoków ćwierć
cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mó-
wić o pułgęskach, ozorach, zającach,
cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej
stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach
stołu zasiadły szerokie, przysadziste
jakby téj spiżarni gospodynie dwie okru-
tne *Baby!* ach! bez nich cóżby całe
święcone znaczyło? na ich ogorzałych
obliczach jak na twarzy pijaka, gęsto wy-
sypane czerwone garby, a ześrodka czar-
niawa, lipka, wysączona massa, upewnia-
ła wprawne znawcy oko, że mimo stra-
sne pozory wewnątrz i zewnątrz sma-
cznemi były: garnitur pirogów i placków
rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał
zdarzane między półmiskami przerwy,
a wszystko razem gajem zielonego blusz-
czu zarosłe, troje razem zmysłów widze-
nia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano xiędza proboszcza, a tym czasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano zcicha; kotka tylko faworytka domowa, siedząc na kredensie figlarnie myła się łapką; i filonek tańczył około stołu. —

Przybywa nakoniec i Xiędz Proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku: wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże; a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyę przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i Jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność, i respekt dla jego pasterskiej godności *acuminose* połączone były: tu już następowały powinszowania, w któ-

rych mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowa, córki i zięciowie ze łzami w oczach mało mówiąc całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy; nakoniec przychodziła kolej na wnuka: Aj! serce mi się wyrwało z piersi! występowałem więc: koło się rozszerzyło, jam na środku, Pan Dyrektor trochę bliżej od innych, dla dodania serca, i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcy zawiodła. Zaczynam... O cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje! zaczynam po francuzku, i bez zająknięcia się pałę, aż do końca; już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta; niewiele jęj wprawdzie rozumiał Xiądz Professor, co ją układał, nie rozumiał Pan Dyrektor, co mi ją repetował, nie rozumiałem ja, który ją perorowałem, i nie rozumiał mój

dziadulek który jój słuchał, ale cieszyli się wszyscy: dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i buziakami osypał.

Traktował potém gospodarz wszystkich z kolei pokrajaném jajem, i nieopuścił najmniejszego dziecka; a z uczuciem równie życzliwém podawał talerz swym dzieciom jak swym sługom i wiernój czeladce, która potém szła do piekarni i posilała się nie tak wytworném, lecz równie obfitém Święconem. — Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru Pan Huszczanowski Organista, dał on bez miłosierdzia na Klarynecie, i skwarzącym się jak Patelnia głosem wtorował Panie Helenie: „*Wesoły nam dziś dzień „nastał”*” i t. d. o Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie

i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z niešťczęśliwym? gdzie to liczne plemie rezydentów, poczciwych próżniaków, którzy jak błędni rycerze wlokąc się z miejsca na miejsce trawili życie po cudzych jakby we własnych domach i dowodzili jeżeli nie swoiěj ochoty do pracy, to gościnności i dobroci dziadów naszych! Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

«Czemuż z miłych rzeczy zgubą

«Człowiek pamięci nie traci (').

Gdy teraz w wieczor równie jak dawniěj spokojny i miły tegoż samego Wielkanocy święta, ja sierota po wszystkich moich, usiędę na kamieniu, niemym Świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy uroczystą ciszę pięknej kwietnio-

(') Kropiński— w piosnce: „te Brzoz kilka.”

wój nocy, chrząc tylko z burczeniem przeciągając kiedy niekiedy przerwie, nagle pieśń: „*Wesoły nam dziś dzień „nastał”*” rozlega się w oddaleniu: wieśniacy obchodząc w nocy po siolach winszują sobie tą pieśnią doczekanego Święta (*) ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mém sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi, i jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drzeniem! —

Mój Dziadunio miał także swoje wspomnienia, i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne domowe tylko miało dlań pamiątki: rok taki to, był urodzajny; w tamtym zima wymrózila mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie a po nich wojna okropna; po wojnie głód w czasie którego swojemi zapasami wyżywił on swoich włościan i sąsiadów nie skapo

(*) Zwyczaj ten trwa zawsze.

wspierał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki, i gorliwie trzymał stronę Pana Marszałka swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec, liczył jak z rejestru dzieje festów, Kaznodziei i Plebanów swojego Parafialnego Kościoła, o kroków kilkaset z klasztorkiem drewnianym niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

Szczególna to łaska Boga nad nami, moje dziecię, powiadał mi poczciwy dziad mój, że tak blisko mamy dom Boży! co za wygoda! codzień bez pojazdów i zaprzęgów odbydź pobożną przechadzkę na Mszą Świętą. — Inszy tu wprawdzie dawniej był porządek, inaczej wszystko i lepiej: co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! jakie festyny za Ojców Jezuitów! tu jak tu! ale naprzykład w Żodziszkach, moje dziecię, gdzie ja do Szkół chodził! daleko o tém i gadać!... Tu nagle mój dziadunia zamilkł, łza mu

spłynęła po twarzy, obrócił się do Krzyża, i wzniosłszy ręce do góry, westchnął głęboko i rzekł: „*Requiem aeternam dona ei domine!*” Cóż to dziaduniu? pytałem, po kim to płacze, po kim się modli dziaduniu? Ach! moje dziecię, nie mogę spojrzeć na tę ubogą dziś Plebanię, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypominał, nie westchnął do Boga za duszę mego najlepszego przyjaciela; w téj oto tam na prawo celce już teraz pustej, mieszkał on niegdyś, święty prawdziwie człowiek! Xiądz Obłoczyski Kapłan *Societatis* JESU! był on moim profesorem retoryki w Żodziszkach: otoż moje dziecię, skończywszy ja Szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie; aż w lat cztery czy pięć, przybywa na rektora do tu-tejszego zgromadzenia tenże sam mój

preceptor i dobrodziej Xiądz Obłóczymski: co to za radość dla mnie była, moje dziecię gdy mnie on raz piérwszy odwiedził, i pobłogosławił moję chatkę! może dla tego i dotąd Bóg w niéj mieszka i nam sporzyć raczy: codziennie potém widywaliśmy się z sobą; święty! prawdziwie święty człowiek! największy exorcista w całej Litwie. Sam nie raz bywałem świadkiem jak czartów z nawiedzanych wypędzał— Ach! Dziaduniu! krzychałem wtenczas całując go w ręce, jak to było? jak to było? ot tak moje dziecię, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniej, z dopuszczenia Bożego, napadał na jaką Babę, a czasami i na męszczyznę, i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętana, ale już to nie baba, lub męszczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał; krzychał skakał, bluźnił, różnemi językami gadał i po łacinie, i po nie-

miecku, i takim nawet językiem że go nikt nie rozumiał, a najbardziej Xięży nienawidział.— Takich moje dziecię niewiedzonych o mil kilkadziesiąt tu do Kościeniewicz do Xiędza Obłoczynskiego przyważano: oho! jak tylko po mszy świętej pokazał się on z kropidłem, stulą i agendką, zaraz djabeł go poznawał, i wiedział co z nim będzie; toć już zaczynał lając świątobliwego Kapłana:— a ty klechu! a ty taki! a ty owaki! czego chcesz odemnie? rzucał się w oczy, groził; ale to nic nie pomagało, Obłoczynski przystępował odważnie, kropił najpierw babę wodą święconą, i związywał stulą, przy stosownych a gorliwych modlitwach; djabeł poznawał że kusa rada; dalej więc do prośb, do lamentów i obietnic: a Ojczyńku! a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiem co z tobą będzie po śmierci, a ja ciebie nauczę

gwiazdy liczyć! Nie, nie chcę od ciebie, wołał Obłoczymski, wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił. — Aj! aj! aj! nie lej warem, nie lej, wrzeszczał djabeł! Bo widzisz moje dziecię, woda święcona parzyła go jak ukrop. — Zaraz wyjdę, zaraz! ale gdzie mi się podzieć? pozwol Xiężę wlażę ot tu nie daleko, w tłustego wieprza; obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty Organista wlece się przez cmętarz; poznał Obłoczymski chytróść djabelską. — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź tam zkądeś przyszedł i gdzie tobie Bóg naznaczył mieszkanie! Wychodź wnet! Nie chcę ja do piekła Xiężulu, nie chcę! o to wiesz co? pozwol wlażę w zgniłą kłodę tam na drodze pod Kurzeńcem: miarkował znowu Obłoczymski że Szatan myśli go oszukać — dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi chłopek pijany leży na

drodze, iżły duch chce tylko odmienić kwaterę. — Zgadłeś klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan! No to wyjdę, ale daj mi czasu, wyjdę za rok, dam cerograf na to: Obłoczynski na żadne termina nie zgadzał się, a coraz bardziej modlitwą, kropidłem, i świętymi słowami djabłu dokuczał; to koniec końcem musiał Czart ustępować i wyjść z nawiedzonego — Aże bywały zdarzenia, iż Szatan niby wyszedł, a tylko się przytail, więc Kapłan zaklinał aby dał znak swojego odejścia. — Dobrze Xiężulu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie: to się znaczyło że na pożegnanie, skrzyłby palec, lub oko biednemu nawiedzonemu by wyłupił. — Nie Szatanie! wyjdź, jakeś wszedł! *Conjurote!* Łaciny najbardziej djabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umie. To już dalej nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakręcił wich-

rem na piasku; a biedny nawiedzeniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nie żywy u nog Obłoczyskiego.—Wszyscy potém za promotorstwem tego Świętego Ojca odmawialiśmy litanie, dziękując Bogu za cud wyraźny i wyzwolenie duszy chrześcijańskiej z mocy czartowskiej.—

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dziesiątek, mówił daléj mój dziadek, siadając ze mną na owym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajném odpoczynku, i dogadzając żywój méj chęci słuchania, która wzajemnie jego chęci opowiadania dziejów dawniejszych, chęci tak zwyczajnej starcom dogadzała; gdy razu pewnego ze stron dalekich przywieziono opętańca, o którym powiadano że był szlacheckiej kondycyi, że nawet nie dawno odprawił pielgrzymkę do Rzymu, co tém większą nabawiało nas ciekawością, i Xiądz Obłoczyski tém świę-

tobliwiój przygotowywał się do téj praktyki. Ależ to w nim musiał bydź niechybnie sam Lucyfer! Rzecz tylko dziwna jak się dostał do tak bogobojnego człowieka? Jakiż uparty? jakiż bluźnierca? zimny pot lał się z czoła biednemu Kapłanowi, potrzykroć najsilniejsze zaklęcia, wszystkich nas obecnych wzywał abyśmy się modlili, co też i czyniliśmy bez ustanku, Organistę jako nałogowego opilca, a zatém będącego w grzechu śmiertelnym precz odprawił, słowem, pracował jak mógł najgorliwiój, i nakoniec uchodził Szatana. — Jezuito! krzyknął bies wściekły: Jezuito! wycho-dzę, wypędzasz mię, wypychasz gwałtem! ale pamiętaj Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą: z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką; pamiętaj na moje słowo! pamiętaj Je-

zuito! wtém kichnął opętany, aż mu się krew nosem rzuciła i padł jak bez duszy. — Zgiń, przepadnij do piekła Szatanie! krzyknął Obłoczymski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje prorocstwa! Amen! zawołaliśmy wszyscy, i zwyczajną wnet zaczęliśmy litanie.—

Niestety! Czart wiedział co wyrzekł; ledwo lat dwie potém upłynęło, gdy raz do izby gdzieś Rożaniec z czeladką odprawiał, wszedł do dnia Xiądz Obłoczymski; zdziwiły mię tak ranne jego odwiedziny: *Laudetur Jesus Christus! In secula seculorum!* odpowiedziałem!—A, nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować rożaniec; więc tak i zrobiliśmy; po ukończeniu zapytał mię Obłoczymski: czy pamiętasz waszeć Panie Macieju, tak mię bowiem w prostocie serca i poufałości przyjacielskiéy nazywał, czy pamiętasz waszeć co powiedział ostatnim razem sza-

tan gdym go z nawiedzenia wypędzał?
 czy pamiętasz co prorokował naszemu
 zakonowi? przypominam rzekłem;—
 otoż się i ziściło! Nie ma już Jezuitów!
 Jak to? zawołałem *Reverendissime?*
 Nie rozumiem co mówisz! To się ma
 znaczyć że Klemens XIV skassował nasz
 Zakon; bullę Jego dziekan wczora wie-
 czorem przywiozł do naszego klaszto-
 ra; dziś nam ją *ex officio* ogłosi: ko-
 sciołek nasz i klasztor przyjmie w swoje
 zawiadywanie a nam rozejdź się do-
 zwoli. Przychodzę więc do waszeci
 Panie Macieju, prosić małego kątka dla
 moiej stariej głowy i kawałka chleba.
 Będę ci pomagał w twoiej gospodarce,
 będę twoje dzieci i twoich chłopków
 uczył Boga chwalić, i będę jego łaski
 w codziennych modlitwach dla was pro-
 sił.— Ojczy! rzekłem płacząc i całując
 jak zwyczajnie to czynilem jego ręce,
 Ojczy! każdym kęsem, każdą odrobiną

chleba mojego podzielę się ochotnie z tobą: mieszkać z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubogiej chatce mojej, gdy święty sługa jego w niej przemieszkawać będzie! płakaliśmy obadwaj, uściskał mnie Xiądz Obłoczynski! Tak Bog chciał, rzekł; tego widać wymaga dobro świętej Religii naszej: oby wszyscy Bracia moi z równą co ja, ten cios zniesli cierpliwością! Spodziewałem się że waszeć mię przyjmiesz chętném sercem; ot przynajmniej będę mógł codzien odprawić Mszę w Kosciele, w którym przez tyle lat Boga chwaliłem; i pocieszać się z waszecznią Panie Macieju, którego jak brata kocham.—Uscisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim nowym gościem do Klasztoru.—

Do ostatniej tam chwili jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczaj-

nych godzinach codziennie odbywało się nabożeństwo, na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia, lub wewnętrznego niepokoju; w podwojonej tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomi rzeczy widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku uciekającego się do Boga i szukającego ulgi w zupełnej uległości jego świętym wyrokom. —

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach, i w samym tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim nappełnił Kościół: po ukończeniu nabożeństwa, stanął Xiądz Dziekan *pontificaliter* ubrany na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie xięży, odczytał bullę papieżką, kassującą zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów (*). Wnet

(*) Z miejscowego podania.

po ukończeniu xiądz Obłoczynski jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego zgromadzenia, *ex abrupto* począł mówić oracyę pożegnalną; obowiązywał on braci swoich do zniesienia bez szemrania woli Bożej, objawiającej się wyrokiem głowy chrześcijańskiego Kościoła, zaklinał aby przestając byź zakonnikami, pamiętali że są kapłanami, i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętej Chrystusowej Religii, a zatém że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnot chrześcijańskich; a teraz szczególniej cierpliwości i pokory; żegnał potém nas jako pasterz trzodę, którą opuszcza; płakał lud zgromadzony, płakali kapłani i my wszyscy; Xiądz Dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec Xiądz Obłoczynski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego; przez chwilę tak cicho i w głębokiém

zebraniu ducha pomodliwszy się powstał, zaintonował *Te Deum laudamus*, wziął Krzyż w ręce, wyszedł z Kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne, i klucze w ręce dziekana złożył — Rozeszli się Xięża w rozmaite strony, to do rodzin swoich to do Wilna, to na kapelanów. — Mój Xiądz Obłoczynski wzięwszy Krucyfix wręce, a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, Panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

Odtąd aż do śmierci, składał on z nami jedną rodzinę, szanowaliśmy go jak Ojca, on kochał nas jak dzieci. — Oto między kilką temi sosenkami grob jego, wybrał on sam i poświęcił ten gaik na smętarz dla chłopków naszych, i sobie na nim miejsce przeznaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine!* wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przy-

jaciela w śród poddanych i sług moich.—Ale co mówię? zle nazywam, w śród braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chleb robi, i dla nas w pocie czoła pracuje, to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziej.

Te i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę moję najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka; jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i zwyczaje, razem zlane utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń do których przylgnęło młodzieńcze serce moje, i które po wielu latach otrętwienia z głuchym żalem budzą się w niém na nowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spójrzenia na przeszłość naszą; i dumając nad każdym osobliwszym téj drogi wypadkiem, spocząć nakoniec ostatniem wytchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda: rzekłbyś że dusza

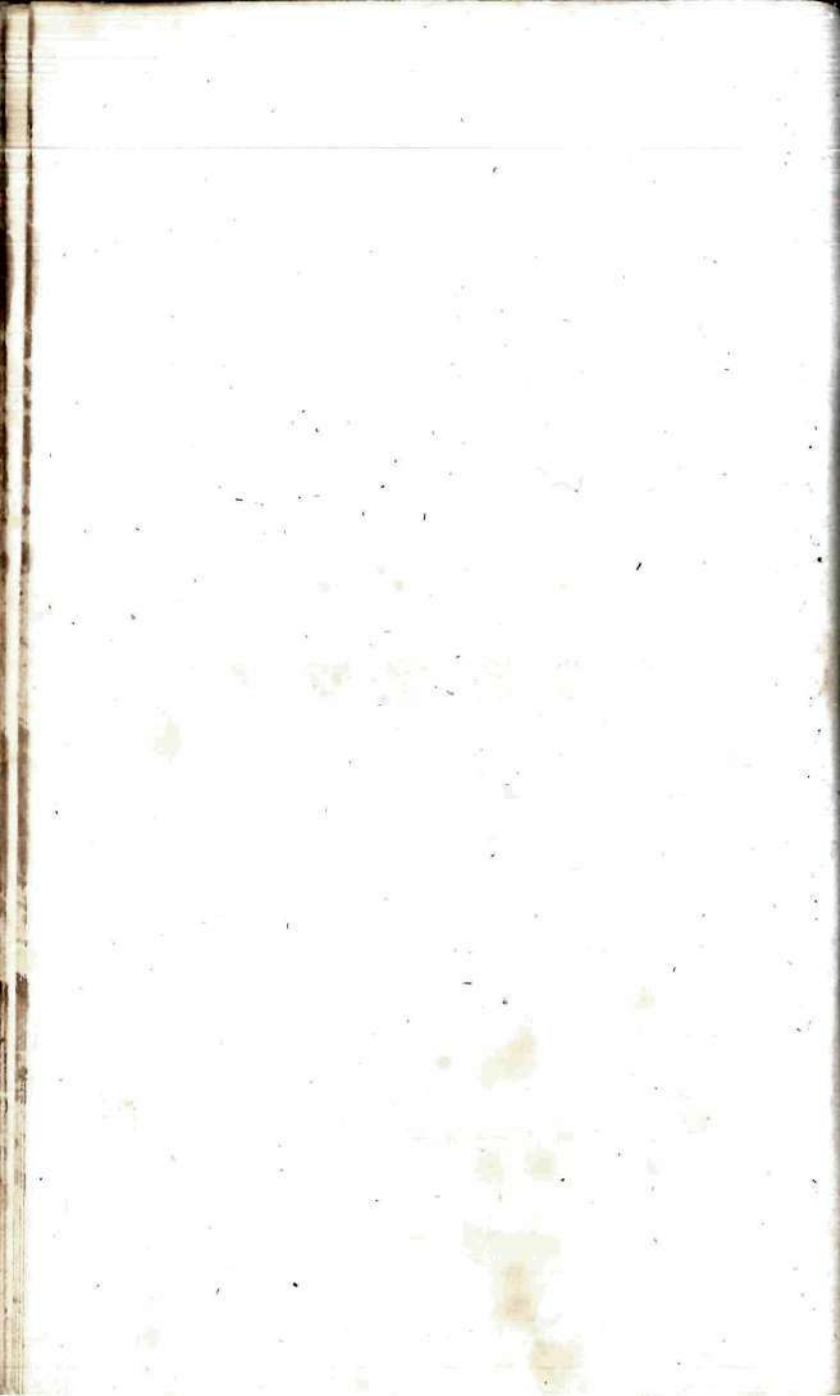
nasza przygotowywa się tym sposobem i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy, nieprzebyty szlak wieczności, na które z łona jój spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie pierwsze z ostatniem ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takiem to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego, i powtarzam z rozrzewnieniem słowa warmijskiego wieszczka:

„Domku mój miły! widok mię twój krzepi,
„Wszędzie mi dobrze, a w tobie najlepiej.

OBRAZ II.

B O R U N Y.



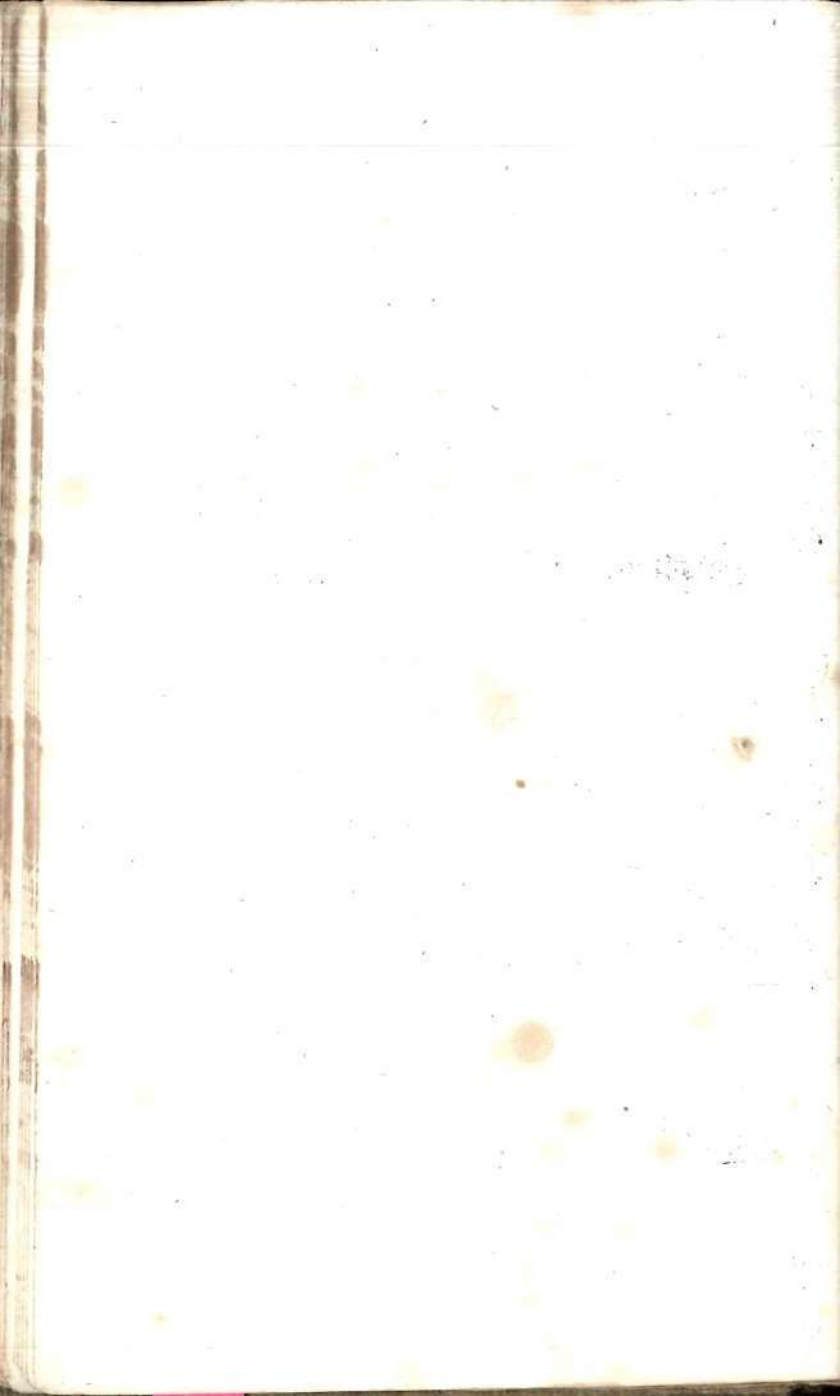
Antoniemu Edwardowi

ODYŃCOWI

WSPÓLUCZNIOWI BORUŃSKIEMU,

**w którego sercu znalazłem równy
mojemu zapas uczuć i wspom-
nień, z jakich się składa ten
Obraz; poświęcam go i
przypisuję.**

Auton.





BORUNY.



Dalekich dzwonów dźwięk mię dołata,
Kraj przypomina obrazy Litwy :
Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy !

OBYNIĘC.— *Dumanie we Włoszech.*

I.

Pod opieką słyńcęg cudami Matki Boskię w Borunach, wzrastało i uczyło się w szkołach kilkaset corocznie dzieci: rodzice z dalszych i z bliskich okolic Oszmiany, przywiozłszy tu i zostawując swych synków, prowadzili ich przed ołtarz Bogarodzicy, ze łzami błagali Jég

łaski, zlewali na ich dziecinne głowy
czułe swe błogosławieństwa, i ze spo-
kojniejszém sercem wracali potem do
domu: nieraz z ostatniego za Borunami
wzgórza, z którego krzyż już tylko Ko-
ścioła dojrzeć można było, zapłakana
matka wysiadła raz jeszcze z pojazdu i
gorące modły przesyłała ku miejscu,
gdzie najmilszą sobie istotę, gdzie duszę
swój duszy zostawiła, gdy tym czasem
rozdzielony żak od mamuni, płakał sto-
jąc na ulicy, i poglądał na drogę na któ-
rój pojazd zniknął, i na której tym spo-
sobem spotykały się wzajemnej ich tę-
sknoty westchnienia!!! —

Zdarzyło się któremu z moich bo-
ruńskich kolegów byź teraz w opu-
stoszałych Borunach? O! nie jednemu
zapewne! lecz czyliż którykolwiek
z równém mojemu uczuciem poglą-
dał tu na ślady swój młodości? czyliż
z równym urokiem smętnego roz-

rzewnienia, upadł na kolana przed tym samym obrazem przed którym niegdyś w ordynku klęczał? Czy rozmierzył duszą tę przestrzeń i różnicę czasu, i tę jeszcze większą różnicę młodzieńczego i starganego przygodami życia, serca? Czy uczuł głęboko wewnątrz siebie to politowanie nad sobą, którym człek oskarża życie przed dawcą życia, i w którym wzywa na siebie jego przychylnego wejrzenia, jak dziecko wzywa przybycia oddalonej a czuwającej nad niem matki.

Boruny leżą w lesistej części powiatu Oszmiańskiego :

„Gdzie Niedźwiedź miał legowisko,
Lub gdzie Łoś miał swe pastwisko,
Tam grzesznik pokarmem żyje
Niebieskim; etc.

powiada stara pieśń na cześć cudownego Boruńskiego obrazu złożona. Puszczą to więc była zapewne głucha natenczas, gdy pokorni zakonnicy Ś. Ba-

zylego obrali tu sobie odludne siedlisko. Wspaniała potém Świątynia i obszerny klasztor wznosił się na tém miejscu słynącym już szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; a nakoniec pustynia ta ożywiła się zbiorem dziatwy wyśpiewującej co niedziela historją i chwałę miejsca tego.

Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzuwnioném sercem, wyszedłem na rynek Boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem. Mrok właśnie padał pięknego letniego wieczora, i zdawało się mi, że się wraz wysypie ze wszystkich domków otaczających rynek, mnóstwo wesołych malców; że się rozlegną huczne ich hałasy; że echa odbiją zaraz taktowe uderzenia piłki o wieżę i mury otaczające kościół; że się zwolna wysuną z klasztoru Xięża Professorowie, a nawet i sam Xiądz Prefekt Dobrodziej; że przypatrując się

czas niejakiś z upodobaniem temu powszechnemu zamieszaniu, temu żywemu obrazowi wesołości, młodszy szczególnie z nich i żwawszy, nie dotrwają na koniec, jako i nigdy nie dotrwali, w powadze swego urzędu i stanu, a złączą się w równość braterską i podziela z całego serca rzezwe i niewinne studenckie swawole!— Ileż to razy bowiem Xiądz Fizyk naprzykład, albo Xiądz Wymowy, zawinąwszy habit około bótów, biegł jak łoś do mety, albo przyklepał szeroką swą łapę do muru na cel kozlistej piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina, musztrował rotę wybranych, i równie jak on uzbrojonych rycerzy!!!

Ale oczekiwania moje, omamieniem wzbudzone, nie wywołały mi tu przeszłej ani odmieniły terazniejszej rzeczywistości. Domki w pół porozwalane nie roily się dziatwą; po cnięta-

rze przesuwali się mnich ponury; po ulicach przewlekała się obdarta hołota; na rynku tylko pod kaplicą siedziała baba w łachmanach, i wśród głuchego milczenia, mruzczała modlitwę wieczorną, przypadającą szczególnie do tego obrazu nędzy i żałoby. Miałaby to być półtora wieczna Raducina, pomyślałem, niegdyś postrach i zabawa studentów? nie zapewne! ale zajmując tu zwyczajne i ulubione jej miejsce, postać, rysy i czyny Raduciny dawniej rzuciła mi na wyobraźnię.

Była to prawdziwa Megmeryllis Boruńska; baba stara ale czerstwa i wysoka, często półpijana, często półwarzjatka; kiedy szeroko rozpuściwszy łachmany, szła z podniesioną głową przez rynek, czarnym wywijając ozogiem, i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę: uciekała dziatwa z drogi, krzycząc: czarownica! cza-

rownica Raducina!!! Ale kiedy spokojnie i smutno siedząc wieczorem na swym pod kaplicą kamieniu, przywabiła którego ze śmielszych swych faworytów, i ciekawe mu zaczęła prawić historie: o upiorze który oto tu z tego samego sklepu z pod kościoła co noc wylaził, i szedł prosto na mogilnik, a potem znowu wracał do sklepu; jak mu potem głowę ucięli, i już potem nie chodził; jak leciała sarańcza aż słońca widać nie było, a na skrzydełkach u każdej po żydowsku napisano było, że to kara Boska; jak było powietrze i wszyscy poumierali; jak potem ten kościół murowali i Raducina cegielki podawała, a mularz jeden zleciał z dachu, ale cudem Matki Boruńskiej powstał z ziemi żywy i zdrowiuteński; a jak to wszystko było, zawsze lat sto... gdy tak opowiadała, to wnet gromadziło się coraz liczniejsze kolko słuchaczy, zapominano Radu-

ciny czarownicy, a biednej staruszce Raducinie w czarne jej torby i kieszenie miedziaki, pirogi i obarzanki pakowano. „Dziękuję wam Jasiu! Antosiu! Leonardku! dziękuję wam, mówiła ona, dajcie łapki, powrócę wam za to. Wnet kilkanaście rąk wysuwało się na przód, niespokojna ciekawość malowała się na czerwonych policzkach malców, Raducina brała każdą z kolei rękę, a patrząc w oczy ze złościwym uśmiechem, improwizowała prorocтва. „Ty będziesz!!! O! tobie będzie dobrze na świecie! ty będziesz ekonomem!” Baba wiedziała że to Pan Marszałkowicz. Antoś ekonom! Antoś ekonom, krzyknęła cała czereda, i Pan Marszałkowicz spuścił nos na kwintę. „A ty! ty choć sobie teraz chudy pacholek, szlachtuna z Polennik, ty będziesz... General!” Leoś General! wiwat Leoś General! ozwał się znowu skaczący chór figurantów tej sceny.—A ja?

a ja? wołają wszyscy razem, tłoczą się jeden przed drugim i gwałtem naprzód wyciskają dłonie. „Ty! ty będziesz wotywę śpiewał, *Oremus*.” O reverendissime Jasiu! reverendissime! winszujemy, brawo! *Oremus*, *Oremus*! i Jaś niewiedział czy cieszyć się czy płakać nad swém przeznaczeniem? „A ty paniczu! tobie w sobotę pieniek, a w niedzielę pirogi!” Raducina niedawno wróciła z wędrownki okolicznej, wszędzie po domach rodziców przyjmowano ochoczo i uprzejmie babę Boruńską, wiedziała więc zapowiedzianą w niedzielę bytność mamuni Tadeuszka, i wiedziała że Tadeuszek naczelny wisus pewnie nie ujdzie sobotniego rozrachunku.—Naglewstaje baba, prostujesię, przekrzywia się okropnie, i ryknie chrapliwie:

„Pewny człowiek bogaty,
 „W złoto, srebro, szkarłaty,
 „I zbyt kosztowne szaty.
 „Miał aksamit purpury,
 „A na mniełaty, dziury! (*)

(*) Pieśń o Stym Łazarzu.

Postać, mina, głos i ożog nã którym się wsparła, powraca Raducinę czarownicę; spłoszona zgraja rozbiega się w mgnięniu oka, i nie jeden zuch przełękniiony zasnąć nie mógł, słysząc jak ponuro i zcicha do północy jeszcze dzieje Łazarza z pod kaplicy jak z grobu wyciągała.

Zgasły dnia blaski, niebo się gwiazdami osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dzieciństwa odnawiał mi w pamięci. Tędy przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu okop; ileż kłębów sniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należycie! Przed nim na straży jak przed zaklętym pałacem Amadisa stał potężny olbrzym: głowa sfinxa, z dwóch czarnych węgli zrenice, tułub Bachusa, a nogi Rodyjskiego kolosu; w rękę trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada

temu kto się jęj dotknie! Co wieczor, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica mińska atakuje ulicę wileńską; z jednéj strony dowodzi Pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany General; z drugiejj Pan Justyn, podżyły Infimista, trzecioletni weteran klasy 1-szej, nie mocny wprawdzie na dowodach że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową,” ależ za to biegły gracz w matony, piérwszy rycerz na slizgawce i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

„Wysuwa się ochotnik z téj i z owéj strony,
Z razu poszło na udry, potém na plutony, (*)

grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu, i lubo zmrok wieczorny zaciemia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne co raz wzra-

(*) Amfitryon Zablockiego tłumaczenia.

sta. „Postrzega Pan Stefan” że sprawa po djabie (*) że Pan Leon grassuje po jego rotach, jak kawalerzysta po rozbi-
 tój piechocie; że większa część jego komendy w śniegu się tarza; daje więc hasło odwrotu! za okopy Mości Pano-
 wie! za okopy! krzyknął: któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi?... Ale w tym momencie błyska od klasztoru światełko, znajoma to latarka!!! Xiądz Prefekt! Xiądz Prefekt! przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światełko się posuwa!... wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzchnęło!!! a Xiądz Prefekt z kilkukrotną kontuzją i ze zbitą latarką, znajduje pustym plac pobojuwiska; następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowanie najdzenia winowajców! siedzą wszę-

(*) Tamże.

dzie malcy spokojnie około stołów, a zatknąwszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zaborj:

„Byli tacy, byli tacy Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu podniesli” i t. d. (*).

II.

Ostatni w Litwie pustelnik żył przed dwudziestą laty pod Borunami. Zaledwo mnie na liczbę kroków swiadomemu odległości jego pustelni od miasteczka, udało się wynaleść to miejsce. Bujne drzewa wzrosły na czystym niegdyś jego ogródku, pasorzytne zielska rozwlekły się po darninie szczupłego dziedzińca, a mały kopczyk z gruzów, oznaczał mogiłę zapadłej chatki. Xiężyc łagodnym blaskiem oblewał ten maleńki krajobrazek, w śród którego ja wędrownik daleki, za duszę przyjaciela mych

(*) *Historja koscielna na klasę 1szą.*

dni dziecińczych szczerą a prostą modlitwę „wieczne odpocznienie” zmówilem. Poczciwy starzec! jakże on kochał dziatwę Boruńską! był on sędzią naszych sporów, a często poręcznikiem u Pana Dyrektora, lub u Xiędza Prefekta; on przewodniczył wzbieraniu na zapas zimowy orzechów, jablek i gruszek leśnych, których u siebie dla swych codziennych gości nie wyczerpany miewał dostatek. To też gdy po ranném powitaniu wschodzącego słońca pieśnią „zawitay ranna jutrzeńko; którą echa do miasteczka donosiły, Ojciec pustelnik pokazał się na ulicy, otaczała go dziatwa w około, a skacząc i witając radośnie przeprowadzała do kościoła na mszę studencką, na którą on nieodmiennie codziennie przychodził. Na twarzy jego sędziwój gęstą i siwą ozdobionój brodą, widziałbyś natenczas najprawdziwszy wyraz gorliwego unie-

sienia, i głębokiej wiary, jaką prosta dusza jego pałała ku Bogu; łzy toczyły mu się po bladych licach, gdy klęczący z podniesionymi rękami łączył głos swój drżący z chorem dziatwy śpiewającej: „*Święty Boże! Święty mocny! Święty a niesmiertelny! Zmiłuj się nad nami.*” Tak wznosiły się razem w niebiosach modły z obu ostatecznych kresów życia ludzkiego, nadziei życia i nadziei po życiu; modły dziecinnych błagań, uwielbienia i chwały, czyste, żywe, błyszczące, jakby brylanty na ozdobe korony Matki Boskiej na jej ołtarz sypane; i modlitwa zebrzącej pokory, skruchy, żalu, a może i pokuty, głęboka a ciężka jakby bryła glazu z trudem podjęta, i na stopnie ołtarza w ofierze złożona.

Z resztą, modły pokutne Ojca Onufrego nie były zapewne gorzkiemi; zgryzota sumienia nie wywlokła go z po-

śród ludzi na samotność, ani trwała téj samotności; przeszłość jego powszednia że tak powiem, nie szła po ostrych szczybach życia, któregoby wypadki kończąc się pustelnictwem, mogły służyć za ośnowę romantycznych powieści. Szlachcic, za młodu żołnierz, potem dworzanin jednego z magnatów litewskich, nakoniec gospodarz na małym własnym kawałku ziemi, ożenił się on i pędził z przywiązaną do siebie żoną życie spokojne obyczajem prostéj i poczciwéj szlachty naszéj, a obyczajniejszej polorem, w rozmaitych kondycjach które przebył, nabytym. Pocięcha podeszłego ich wieku, nadzieja starości, synek jedyny, wyhodował się im do lat siedmiu rzeźwo i zdrowo. Hasał on raz na koniku po polu, rodzice nań z wiśniowego ogródka z czulém uniesieniem patrzali. „Tęgi chłopak! powiadał ojciec; kochane dziecko! mó-

wiła matka; cóż z niego będzie?—Będzie poczciwy człowiek Teresiu! oddamy go do szkół.—A potem?—A potem jak się wszystkiego wyuczy powróci do nas.—A potem moje serce?—A potem moja duszko!... cóż potem? dworów nie ma teraz takich, w jakich ja za młodu służywałam: do wojska!... jednego iego mamy, a ktoż naszą starość dochowa? więc potem, tak wypada moja duszko, ożenim go.—A potem?—Ha! potem, śmieszna jesteś moja Teresiu, potem będziemy wnuków kołysać; Antoś będzie gospodarzyć, pracować będzie na swoje dziatki i na swoje rodzice.—A potem moje serce będziemy żenić naszych wnuków.—Oho! moja duszko, tybyś chciała żenić aż do siódmego pokolenia! Nie moja Teresiu! potem będziemy starzy, ty będziesz wnuczkom lalki ubierać, a ja wnukom będę koniki strugał, i będziemy spokojni i będziemy szczę-

sliwi!.. Tak, będziemy szczęśliwi! powtórzyła żona w upojeniu macierzyńskiego rozrzewnienia, będziemy szczęśliwi... Wtém ach! o Boże! krzyknęła nagle i padła bez ducha! Konik Antosia uląkł się jakiegoś krzaku, spał się raptem, zrzucił jezdca i poleciał jak strzała.... Matka już więcej nic nie widziała; ale ojciec we mgnieniu oka przeskoczył płotek ogródka, i biegł co tchu za koniem, który ciągnął za sobą ukochanego Antosia, uwięzłego za nogę w strzemieniu; nakoniec koń ugrzązł w błotku i nieszczęśliwy ojciec dopadł syna zbitego, krwią zlanego, i nie dającego znaku życia!!! Otoż nadzieje ludzkie! oto szczęście ludzkie!—Zazdrośny człowiekowi, niewidomy wróg rodzaju naszego, szatan, czatował zda się na ostatnie słowa cieszącej się matki, na jej najdroższe nadzieje! „*Tak; będziemy szczęśliwi*”, chwycił te słowa w swoje szpo-

ny, zgniółł je zajadle, zgruchotał, i cisnął pod nogi.....Niestety! już się one nigdy odtąd w tych samych ustach nie powtórzyły!

Przyniósł drżący i zapłakany ojciec ukochane swe dziecię do domu i złożył na łóżko; przyniesiono z ogródka żonę, ocuciła się wkrótce, a pierwsze iéj słowa były: *Syn mój! mój Antos!* Wbiegła do drugiej izby gdzie schylony nad łóżkiem mąż iéj, tamował krew z ran Antosia i cucił go wszelkiemi sposobami: podjął on głowę na krzyk żony, stanęli oboje nad synem jak wryci, i spojrzeli na siebie wzajemnie!!! ach! ten wzrok, którego wyobrazić nie potrafię, ten wzrok rodziców nad trupem swojego dziecka! nie wyobrażaj go także czytelniku, jeżeli jesteś ojcem, abyś sobie wielu bezsensnych nie przyczynił nocy: wzrok ten przebił ich do głębi, wstrząsł całém ich jestestwem; dobył nakoniec łez krwa-

wych z osłupiałej źrenicy, i chatka rozległa się rykiem obojga rodziców i jękiem przywiązanej czeladki..... W lat kilkadziesiąt potem, Ojciec Onufry opowiadający tę chwilę męczeńską swojego żywota, znieść i jej obrazu nie mógł; przestawał mówić, ciężkie westchnienia tamowały mu oddech i krępowały język, i ledwo po długiej chwili osłupienia, łzy rozwiązywały mu usta, i wolniej znowu oddychając kończył opowiadanie.

Jednakowoż Antoś ożył, ale radość stąd żywa rodziców, zmieniła się wkrótce na ciągły smutek, tak jak gwałtowne zabicie się ich syna, na ciągłą mu przemieniło się chorobę. Uderzone niebezpiecznie w piersi, schło dziecko i niszczało widocznie; próżno codziennie i doktorskich i domowych używano leków. Niekiedy błysnęła nadzieja, chłopiec na dni kilka polepszał się, natenczas orzeźwiała się i rodziców życie, więdnie-

jące z nim razem; ale gdy rychło znowu wróciła mocniejsza choroba, wracał wnet razem coraz wzmagający się smutek. Niespokojna matka tuliła do łona ukochane swe dziecko, i koła jak mogła jego cierpienia; niekiedy trzymając je na ręku padała przed obrazem Matki Boskiej, a łzami i modlitwą boleść macierzyńską Maryi przy śmierci Syna na krzyżu przypominała; to znowu ojciec biorąc chorego z rąk matki, nosił go, pieścił, całował, właśnie jakby mu zdrowie chcąc przelać. Chłopczyk zapominał natenczas o swój chorobie, obejmował szyję ojca, kładł bladą główkę na jego ramieniu i cieszył go mówiąc: „Nie płacz, ojcze! ja zdrow będę, mnie już lepiej.” Ach! natenczas krajało się serce ojca nie mającego żadnej nadziei; a jednak zdawało mu się że śmierć nie zdoła mu z rąk wydrzeć syna, i dla tego nosił go tak zawieszzonego na swych piersiach jak naj-

dłużej, i z trudnością składał na łóżko od którego ani na krok nie odstępowali oboje. — Nakoniec matka, życiem własnym do życia dziecka przylgnięta, bezustanną gorzką troską dręczona, bezsennymi nocami zmordowana, sama wpadła w chorobę, i obok syna zaległa łóżko. — Albo daj mi Boże wstać z nim razem, lub z nim razem umrzeć! — wołała niekiedy, i codziennie słabiejac los swój zgadywać się zdawała.

Wśród tak smutnego stanu rzeczy, pewnego wieczora chorzy w drugiej izbie leżący, usłyszeli w pierwszej „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*” i zaraz potem: „*S. Justyn pozdrawia!*” Kto tam? odezwała się słabym głosem gospodyni. — Podróżna, biedna uboga! chodzę po świętych miejscach, po cudownych, prosząc Boga za zdrowie mo-

ich dobrodziejów : wracam z Miazioła od S. Justyna, a idę do Borun. *Kirielejzon, Christe Elejzon!* i t. d. Zwlekła się natychmiast chora z łóżka, i wyszedłszy do piérwszej izby, ujrzała stojącą babę starą, w ubiorze zwyczajnym wędrujących dewotek. Półpłaszczyk gruby sukieny, czarny, dobrze wytarty, z pod niego długa koronka, na końcu której krzyżyk i kilka medaliów mosiężnych; na piersiach duże szkaplérze, a z ramienia jakby znak widomy cechu żebrackiego, od którego ją ubior odróżniać zdawał się, torba łątana wprawdzie, lecz dobrze pękata, i kij podróżny, jakiby przystał raczej silnemu parobkowi, niżeli ubogiej i słabej niewieście: do tego kaptur na głowie trochę na bakier wciśnięty, spojrzenie śmiałe i ciekawe, a postać wysoka i prosta. Figura taka w końcu ciemnej izby stojąca, ponurym głosem mrucząc

modlitwę, témże samém uczuciem trwogi i przerażenia napełniła chorą, jakim nieraz w postaci czarownicy studentów boruńskich nabawiała. Była to bowiem znajoma nam Raducina, w podróżnym a uroczystym swym ubiorze, ze świątobliwych wracająca wędrowek, które corocznie w rozmaite strony, nie tak dla dewocji jak raczój dla odwiedzenia znajomych dworów, zebrania zapasu nowinek na rok cały, i sowitej na odpustach jałmużny, odbywała.—Ach! moja babko, pomódl się za zdrowie mojego syna,—przemówiła ośmielona pani Onufrowa.—Dobrze dobrodziko: ale zdaje się że i dobrodzika nie bardzo zdrowa jesteś?—odpowiedziała Raducina — Tak moja babko! ale mniejsza o mnie! Pan Bóg z nami, dobrodziko, jak to mniejsza? pomodłę się i za matkę i za syna, a mam modlitewkę doświadczoną; tylko dobrodziko opowiedz mnie o cho-

robie, jak co jest? i skąd licho się wzięło? Może koltun, może czary, uroki?—Nie moja babko;—itę opowiedziała gospodyni całą historję przypadku Antosia, i nawet zaprowadziwszy babę do alkierza ukazała jej chorego.—Zle zrobiliście dobrodziko, że zaraz po przypadku nie ofiarowaliście synka do miejsc świętych: do Żyrowic, do Budy, do Borun. Oj! do Borun dobrodziko! do Borun! Nieraz widziałam sama, jak chory ledwo się tam przywłókł, a przecież za łaską i cudem naszej boruńskiej Opiekunki, wrócił zdrowiuteńki jak rybka! do Borun dobrodziko wieźcie synka!—Błysnęła nadzieja, chwytali się jej nieszczęśliwi rodzice; po krótkiej więc naradzie, postanowiono za przewodnictwem Raduciny odbyć pobożną peregrynacyę do Borun i od jutra wybrać się w podróż; a tym czasem utraktowano babę hojną wieczerzą i na świe-

żém sianie w odrynie, wygodną na noc wyznaczono gospodę.

Nazajutrz ledwie kur zapiał i zwiastował switanie, pan Onufry już przyrządził wóz podróżny; wyszła i Raducina z odryny z koronką w ręku i przechadzając się po gumnisku, odmawiała rożaniec, przerywając niekiedy modlitwy uwagami względem zapasów podróżnych tak dla chorych, jako i dla zdrowych nieodbicie potrzebnych. Wywniół nakoniec parobek schorzałego Antosia, za którym wywlekła się i słaba matka jego; oboje umieścili się na wozie, parobek siadł za woźnicę, pan Onufry obok piechotę, a Raducina na przodzie prowadzić miała tę karawanę. Już wyruszyli, gdy wysypała się wierna a poczciwa czeladka, ostąpiła powóz, całowali wszyscy ręce pani, panicza, i pana, ze łzami polecali ich Bogu, i życzyli szczęśliwej drogi. Pan Onufry porucza-

jąc im swoją chudobę i domek, rozplakał się także; Antos żegnał zapłakaną rzewnie swą mamkę, a pies *Rozbój* pełzał i łasił się około nóg panów swoich, prosząc jakby pozwolenia na drogę. Raducina usiadła na ganku pod spichrzem, oparła ręce i brodę na kiju, i kiedy niekiedy kiwała smutnie głową. Jedźmy, rzekła nakoniec, więcej od wszystkich zalana łzami pani Onufrowa, bądźcie zdrowe dziatki! proście Boga abyśmy do was wrócili.....a jeśli nie wrócimy, módlcie się za naszą duszę! — Ruszyli więc. — Zatrzymajcie psa, odezwał się pan Onufry. Ujęto Rozboja za szyję, ale łagodne zawsze psisko, na ten raz prawdziwym okazało się rozbojem; warknął zajadle, wyrwał się z rąk trzymającego chłopca, przeskoczył zamknięte wrota i złączył się z podróżnemi. Pan Onufry nie miał już serca odpędzić go, owszem pogładził

łaskawie, a Rozboj podskoczył raźnie i pobiegł szczęśliwy naprzód. Był on potem jedynym towarzyszem i stróżem pana swojego na pustyni, a faworytem i pieśczochem całej szkoły boruńskiej. O ileż go razy, swoją własną ręką głaskałem! codzień prawie nawiedzał on swoich przyjaciół w miasteczku, zachodził nawiasem do xiędza Kanaparza w klasztorze, oddawał potem wizyty po kwatérach naszych, a jakby instynktem trafiał zawsze tam, gdzie był świeży od mamuni transport. Położywszy natenczas pysk na kolanach malca rozdzielającego kolegom wyborne przysmaki, czekał Rozboj spokojnie swojej porcyj, i porcyja Rozboja nie była najmniejszą.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, idąca na przodzie Raducina, upadła na drodze na kolana; zdziwieni podróżni zbliżyli się do niej i postrzegli krzyż

kościola Boruńskiego, uczynili więc toż samo oboje rodzice Antosia. O! mogłyż bydz czyie kiedykolwiek gorliwsze modły jak ojca i matki, błagających zdrowia dla jedyne go dziecka, i w głębokiej wierze oddawane jakby osobiście obecnej opiekunce nieszczęśliwych! Podnieśli i Antosia na wózku, i jemu modlić się kazali, ale z przerażeniem postrzegli rodzice zupełną słabość dziecka; nie miał siły zmówić paciérza, tylko konwulsyjnie chwycił za szyję ojca i matkę, i ostatnim wyrazem jedyne uczucia całego krótkiego swego życia i ostatniej swej chwili wymówił „Matko! Ojcze! jakże ja was kocham bar-
 „dzo!!! jakże ja was kocham!....I odpadł na wózek. Spiesznie ruszano ku miasteczku, w nadziei jakiegokolwiek ratunku, ale niżeli doń dobiegli, Antosia już nie było.....Okropny był natenczas widok tego smiertelnego wozu; matka

nie płakała; nie lez, ale życia jej ostatnie krople dosączały się nad trupem dziecka, z siniałą twarzą i z osłupiałém okiem trzymała ona na kolanach bladą głowę zmarłego, ochraniając starannie aby się od wstrząśnienia wozu nie uderzyła. Nieszczęśliwa! była pewną że syn jej nie żyje a piastowała go jeszcze!.... Ojciec, któremu ten nagły i okropny cios, scisnął serce, usta, i powieki padł pośród wozu pod nogi dziecka; nakoniec przerażona, i bezprzytomna Raducina, siedziała obok furmana; widząc jej twarz bladą i zeschlą, włosy rozczochrane, postać wychudłą i dziką, widząc jak długie i suche ręce naprzód wyciągając, nagliła konie do biegu, rzekłbyś że to śmierć naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły.

Nazajutrz matkę obok syna na katafalku, ojca na łóżku u xiędza Apteka-

rza złożono: któżby zniósł tyle razem nieszczęść!!!

Czas, starania i religijne pociechy, któremi poczciwi zakonnicy osładzali codziennie dolę nieszczęśliwego, wróciły zdrowie ciała i niejakię uspokojenie umysłowi jego: a może więcej niż to wszystko, ktoby się spodziewał, rozmowy częste z Raduciną, która codziennie prawie jakby wiadomości od żony i syna z tamtego świata, sny mu swoje o nich, lub *zdanie się* opowiadała, sprawiały na nim ten skutek. Dobrodzieju! dziś widziałam przez sen Imość nieboszczkę w ogrodzie i z Antosiem, Panie świeć nad ich duszeczkami! oboje w bieli: ale jaki ogród! dobrodzieju! jak raj. Imość chodzi, a kwiatki zbiera i ubiera niemi panicza; podchodzę ja dobrodzieju, daje mnie kwiatek, a jakiż kwiatek? kluczyki; zanieś, powiada, memu mężowi; to ja i wzięłam kwiatek i... ocknęłam

się. A coż to znaczy? koniecznie dobrodziej, że sama z synkiem w raju, i nam daje kluczyki od raju. — To znowu widziała matkę i syna klęczących przed ołtarzem Przewyższonej Boruńskiej, a zawsze w bieli, więc zawsze taki wniosek: „już to darmo dobrodziej, taka wola Pana Boga, żyć dłużej nie mogli, ale oni w opiece Matki Boskiej szczęśliwsi od nas, bo i w Niebie, i modlą się za Jegomością! W chorobach duszy, tak jak w chorobach ciała, często gdy sztuka wyczerpnie napróżno wszystkie mądre sposoby, proste lekarstwo ręką życzliwą podanie, a z zaufaniem przyjęte, uleczy. Podobnie opowiadania Raduciny, tak zgodne z pojęciem i wyobrażeniami nieszczęśliwego ojca, ujęły proste i pełne wiary serce jego, i wzbudziły w nim pokorne poddanie się woli Boga, ale też razem przywiązały go do miejsca, w którym cień od mogiły żony i syna padał mu codzien na serce,

i w którym codzień duszą i modlitwą z niemi obcował. Pozbył się więc łatwo i rychło pan Onufry swojej chudoby; a gdy brak uprzedniego usposobienia, przeszkodą mu był do wzięcia zakonnego habitu, zajął więc od lat kilku opuszczoną małą pustelniczą pod Borunami chatkę, i odtąd pustynia, kościół i cmentarz składały krąg, po którym obiegało codzienne jego życie, i tą samą koleją przeszły zwłoki jego raz ostatni na wieczny obok żony i syna spoczynek.

Dumania te moje, w opowiadanie dziś zamienione, nowém westchnieniem do BOGA za duszę Ojca Onufrego kończyły się, gdy echo uderzenia zegara na wieży boruńskiej, oznajmiło mi północ. Wróćmy, pomyślałem, do miasteczka, złożmy znużoną głowę w kątku, w którym się tak spokojnie niegdys usypiało, wezwijmy świętej Opiekunki lat dziecinnych, aby usunęła z powieki troski

dojrzałego wieku!... obym usnął snem słodkim, snem łagodnym, snem studenta umiejącego swą lekcję na jutro! snem, w którym ostatnia myśl wesoła, zléwa się z piérwszém miłém marzeniem!

III.

Marzyć o przeszłości, czerpać słodycz z przeszłego szczęścia, jest to brać procent od kapitału szczęścia złożonego w sercu własném. Życie ludzkie ubiega między wspomnieniem a nadzieją. Wspomnienie idzie za człowiekiem, zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru, orzeźwiającego w nim siłę i cierpliwość na dalszą drogę: na przodzie nadzieja, unosząc w ręku błyszczące widmo szczęścia, ulatuje przed człowiekiem, goni ją człowiek z całej siły, i gdy mu się zdaje że ją dosięga, ona oddala się znowu jak cień fantastyczny, i człowiek goni ją znowu!... Tak się przybývá na

granicę życia: tu nadzieja odrywa się od ziemi, przebywa nagle tę granicę, i staje niewzruszona w wieczności; idzie tam za nią człowiek, a ludziom zostawia.... wspomnienie!

Jakże czystém i miłym było to, do którego cofnął mię ranek w Borunach! ranek to majowy, pogodny i cichy, lekkim tylko i wonnym chłodzony powiewem, któż nie zgadnie, że mógł byźd rocznicą nie jednej majówki, najweselszej chwili studentskiego życia. Życie to w całym swoim okresie, nie jest wszakże najweselszém; praca nudna i przymuszona, posłuszeństwo bezwarunkowe, oddalenie się od najmilszych osób, a zatem tęsknota i smutek, kara często niezasłużona, wszystko to daje dziecku kosztować jakby piérwiastków goryczy życia dalszego; ale jak w dniu wiosny najposepniejszym, jedno błysnienie słonecznego promyka, rozpędza w mgnieniu

oka chmury i rozwesela naturę, tak w wiosnie życia, jedna chwilka szczęśliwa, pograża w niepamięć całą dotkliwą przeszłość; orzeźwia, unosi, swawoli w dziecku, szaleje w młodzieńcu!... Ach! czemuż tak nie jest w jesieni roku? czemuż tak nie jest w jesieni życia?

Majówka więc. O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczora zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze; xiądz Fyzyk wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissimus Fyzyk! brat za brat z nami! On najlepiej wypuszczał długo-ogoniaste żmije, co dowodziło jak sam powiadał, jego biegłość w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek kozlistych, radząc zwijać je na gummie elastyce; on nieraz wyprosił u xiędza Prefekta pardon dla *rozbojnika*, który

z za płotu kamuszkciem, lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadził.— Nie wolno, powiadał, żydom Mosanie, jako nieprzyjaciołom patronki tego ś. miejsca, mieszkać w Borunach, po coż więc włoczą się po ulicach? drażnią tylko Mosanie dzieci i nic więcej! Nie bójcie się chłopcy, jeszcze będziemy żydów na kamieniu przed szkołami Mosanie plażyć; daj pokój xiężę Prefekcie, to wyborny malec, dobrze się uczy; won żydzie z klasztoru! bo sam cię Mosanie kijem wyłatam!”— I sprawa skończona: coż takiój przeważnej wymowie oprzeć się mogło, i co bardziej ująć dlań serca pospolitej rzeszy? Otoż xiądz Fizyk odchodząc zmordowany całowieczną przepędzanką, spojrzal na zachód, i jakby od niechcienia rzucił uwagę; jutro dzień piękny, wartoby dzieci o majówce pomyśleć. Xiądz Fizyk nigdy się w proctwie nie myli, jutro dzień piękny,

więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z Ichmość Dyrektorów jęj przewodniczy, i na nięj jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za xiędzem Fizykiem do xiędza Prefekta delegacja, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u xiędza Prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: *Majówka! Majówka!* Okrzyk się powtórzył na rynku: *Majówka!* Na to hasło Pan Kazimierz arcydobosz szkolny, wie co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z chóru ogromny bęben, i waląc weń co ma siły, maszeruje po całym miasteczku; za nim biegnąc liczna tłuszcza głaszy huk bębna nieprzestanném wołaniem *Majówka!* zaś gdy zemdlały ręce panu Kazimięrzowi, a krzykaczom zachrzypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele, i każdemu sni się Ma-

jówka. Ledwie nazajutrz dzień zaświtał, leniwe w każdym innym czasie chłopcy na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochotnie z pościeli; każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne; wtém Pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista, otoczony liczną assystencyą, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki: a jak tłumaczył Xiądz Professor Wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: „*Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!* a po polsku: *ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!*” Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłu-

mie. Scena ta nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą z radości, ztamtąd biegną bez pamięci wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku sły-chać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywej strónki skrzypców, i pomrukiwanie jakby godzącej te spory poczciwej basetli. Otoż wychodzi z klasztoru sztab główny téj armii maroderów; Xiądz Prefekt naczelny wódz, i Xięża Professorowie otaczający go substytucji. Ogromnym palantem wywijając zręcznie Xiądz fizyk, jak nieuwważający na Generała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pojdziemy dzieci? do Giejstun wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza! krzyczą inni. Któż rozdzielone zdania zjednoczy? tenże sam xiądz Fizyk który i sprzecze dał powód. „Do Zahorza pojdziemy Xięże Prefekcie! do Za-

horza dzieci! już ja ręczę Mosanie, że będzie tam dobrze!” wtém nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza marsz Mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz!” Zabrzmiały klarynety, skrzypce i bassetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy; rozweselony xiądz F'izyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: „*Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy*” (*) a wszyscy chorem za nim; klarncista zmienił notę i dał ile miał ducha, skrzypak opuścił smyczek, a przeszedł na dyszkanta, organista popierając się bassetlą jak kosturem, piłował co mu się podobało; a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wąsów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi; po wzgórkach

(*) Piosenka Kniaźnina.

jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy; najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa, i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległemi i okrytymi bujnym zbożem polami, w dolinach rozესłane; gdzie niegdzie małe szykowne wioseczki rozłożystemi dębami i kosatą brzozą ocienione, po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stoletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów jak w zwierciadłach odbite, drożki wązkie wijąc się po wzgórkach i polach łączą sąsiadów, a strumyki z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach tu i ówdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną ludną i powabną krainkę, która całością zachwyca a szczegółami przynęca. Lecz

gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz, i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg; wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych masach lasów i w głębokie jary i parowy przenika; na lewo znaczą się ledwo dojrzane wemgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia (*), ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej bieleją gruzy zamku i Kosciół, (**) siedlisko i grob Jana Sapiehy Starosty Uswiackiego walecznego niegdyś Litewskiego Hetmana, a przed nim jeszcze Xiążąt Holszańskich; nakoniec myśl, oko i wyobraźnia unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mglistym i nieokreslonym błękicie.

(*) Krewo.

(**) Holszany.

Po tej to drodze wysypawszy się z miasteczka ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtorej naj-
mniej godziny, potem zwróciła się ma-
łą drożyną na prawo ku dworowi blis-
ko na wzgórzu dającym się postrze-
gać; to cel wędrówki, Zahorze! Ma-
szerujemy więc w porządniejszym szy-
ku przy odgłosie samej tylko muzyki
prosto na dziedziniec; gdy się zbliżamy
widać zdaleka w oknach mnóstwo pię-
knych, świeżych, rumianych twarzy-
czek, wyglądających przez szybki cie-
kawie, jakby obrazki Aniolków za
szkłem i w ramach: a gdy pod bramę
chorągiew się zbliża, występuje na powi-
tanie uprzejmy gospodarz pan Szambelan
Bujnicki. Ktoż moich kolegów nie przy-
pomni jak poczciwy staruszek rad był
swoim gościom, jak się uwijał między
działwą, jak poprawiając pasa na niskiej,
krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał

szeroką lysiną kłaniając się na wszystkie strony; za nim wysypuje się liczne gromno mamuniek, i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzyczek różowych, napelniających piérwej okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze! Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, a Xiądz Fyzyk odzywa się z uśmiechem, a cóż dzieci? nie mówiłżem Mosanie że tu nam będzie dobrze? — he? „Oj bo xiądz Fyzyk wysłał na całą noc Raducinę do bliskich dworków, uwiadamią ją mamunie o majówce i zapraszając do Zohorza; wiedział więc kto się tam najdzie, a zatém śmiało zaręczał że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli; między gromadą siostrzyczek studenckich są i dla starszych panów Dyrektorów

ponęty, kilka dziewcząt co niedziela widywanych w kosciele, a na których bliższy widok, panowie Dyrektorowie poprawiają chustek na szyjach, i stroją miny zalotne. Nareście Prefekt i Professorowie wchodzą do budynku, za nimi starszyzna panowie Dyrektorowie, za nimi malcy którzy tu rodziców nalezli, nakoniec muzyka i wszyscy którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni sute tam najdują sniadanie; atymczasem główny tłum majowki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórza, na którym dom się wznosi, rozciągającą się i bujnemi brzozami z rzadka porosłą, tak, że i cień przed słońcem w południu gotowy, i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza *meta*, obok wyznaczają place do *zajęca*, *doprzepędzanki*, *dopalanta*, indziej ścisłe sadowi się koło i bolesna skręca się pytką na *szydło*; ówdzie usiedli gracze

w *matony* oh! to pewne kiedyś szulery! — tam wysypano przyniesione kręgle; ówdzie kupią się gracze w *ponę*; słowem każdy wybiera co lubi i od jednej do drugiej swawoli przebiega. — Pod drzewem w oddaleniu usiadło dwóch chłopców, nie dzielą oni powszechnej zabawy, ale szczęśliwsi może od innych, oni też używają serdecznej słodyczy: przypomnienia i nadziei! Na jednej urodzeni grzędzie wychowali się razem na jednym dziedzińcu, rodzice ich bliziućcy sąsiedzi, widzieli z poaciechą zawiązującą się przyjaźń chłopczyków, i z uśmiechem dozwalałi Rózi, siostrzyczce Adasia, podzielać zabawki braciszka i jego przyjaciela Ignasia; to też Adaś i Ignas mają już swoją miłą przeszłość: wakacyę; rozpamiętywają o niej i wyliczają godziny, za któremi uśmiecha się znowu ich szczęśliwa przyszłość: także wakacya; a w jednym i w drugim o-

brazie, Rózia jak ich cacko ulubione bawi się z nimi i pieści.—Adaś kocha Rózię siostrzyczkę, Ignaś kocha Rózię więcej niżeli Adaś, sam nie wiedząc jak i dla czego? — byłażby to już miłość? — nie jeszcze; jest to tylko instynkt czułego serca, objawiający wczesnie przeznaczenie przyszłe człowieka! Czułość ta zapłonie kiedyś miłością, ogarnie potem całe jestestwo, przepali je, wytrawi w niem cały zapas namiętności i szczęścia, i zostawi w sercu jak po wygasłym ognisku popioł i żuźle. Takież by miał być los Ignasia? Niestety! takim był rzeczywiście!!!

W budynku po sutém śniadaniu, wśród którego Pan Bujnicki po kilkakrotnie z flaszką staruszki i sporym kieliszkiem przystępując do Ichmość Xięży Professorów i Prefekta, nie znalazł nigdy niegrzecznego odmówienia lub wstrętu, musnął się po łysinie, marco-

wy wdowczyk odmłodniał: Pan Dzia-
wałowski, metr muzyki, zrozumiał chęć
gospodarza, chwycił skrzypce i urznął
poloneza; reszta panów wirtuozów sta-
nęła obok, a ucieszony Pan Szambelan
luha! zawołał, i stanął w pierwszą pa-
rę z Panią Mostowniczną. Działwa wy-
biegła do gaju, Panowie Dyrektorowie
stanęli za Panem Szambelanem, i zaczę-
ły się tańce. Mamunek i córeczek było
wiele, było między kim wybierać, tań-
ce więc szły hucznie i rzezwo; ale jak
wysmuklejsza lilja między towarzyszkami,
tak między wszystkiemi jaśniała
Panna Katarzyna, hoża, ładna i wesół-
dziewica. Emulacya wyraźna objawiała
się między panami Dyrektorami: gdy
ją przyszło brać do tańca, na wyścigi
i hurmem biegli oni po jej rączkę, a
którą niestety! najczęściej piastował
pan Aplikant z Oszmiany, jak na nie-
szczęście tu przybyły, smielszy, bo

niedbający o xiędza Prefekta, i niegodziwy bo wyszydający smieszność studenckich zalotów, Po kilkunastu położeniach, odbijanych i nieodbijanych, panna Katarzyna na zgrabnym staniku opasawszy różowy fartuszek, stanęła do kozaka; w niedostatku równej partyi, mały jej braciszek stanął na przeciw za figuranta, sama jedna więc Kasia powszechną zajęła uwagę, wszyscy kołem otoczyli dziewczynę, xiędza postawiali na stoliku niodopite lampeczki trójniaku i ciekawe na środek pokoju obrócili oczy. Z rzezwą, wiejską, niewymuszoną wesołością wbiegła dziewczyna w koło, i w różnych podskokach od końca do końca przelatywała pokoj: fartuszkciem swym raz zakrywała figlarnie czarne swe oczy i mocniejszym rumieńcem okraszane jagody, to znowu chłodziła się jakby szeroko roztopczonym wachlarzem, to zwijając go zrę-

cznie, piękną zeń i zalotną koło siebie tworzyła szarfę; brawo! brawo! wołali wszyscy klaskając z zapalem w dłonie; *bravissimo!* krzyczeli młodszy i zapaleńsi czciciele wdzięków panny Katarzyny! *bravissimo in superlativo gradu!* wrzeszczał pijany pan Dziewałtowski, pochyliwszy brodę, i aż głowę położywszy na skrzypcach, na których rznął zamaszysto kozaka; nakoniec tancerka wykręciwszy na środku smaglego młynka, dygnęła z wdzięcznym uśmiechem całej kompanii, i osypana oklaskami, pobiegła spocząć w drugim pokoju. Zachwyceni i zakochani panowie Dyrektorowie poszli za nią; tam się każdy wysadzał na pochwały i komplementa. Pan Mateusz przez cały czas tańców przemyślał coby pięknego miał powiedzieć pannie Katarzynie; tłumaczył on już Telemaka, czytał nieraz Gonzalwa z Korduby, i Nummę Pom-

piliusza, ale żadnym sposobem nie mógł nic przypomnieć ani przystosować do pięknych oczu Kasi, a natomiast te nieszczęśliwe wypisy na klasę pierwszą, które codzień z uczniami swymi repetował, płały mu się gwałtem po głowie: „*Parentes carissimos habere debemus*” i znowu i zawsze: „parentes carissimos i t. d.” obronić się od tego nie mógł! Cóż począć? nagle wyborna przychodzi idea. Położywszy, pomyślał, pannę Katarzynę w liczbie pojedynczej, na miejscu *parentes*, i wytłumaczywszy to na język polski, będzie wysmienita lokucya! przystąpił więc uradowany pan Mateusz do Kasi, i uchyliwszy czoło jakbysię do boxów gotował, rzekł: „pannę Katarzynę za najmilszą mieć powinniśmy,” wziął razem piękną jej rączkę i już do ust podnosił; gdy niezbożny zdrajca Pan Hyacynt, aplikant z Oszmiany, szepnął nagle z tyłu: „xiądz Prefekt

idzie!” Upuścił rękę kochanki i odskoczył zmieszany Pan Mateusz... Xiędzia Prefekta nie było, pusta dziewczyna rozśmiała się na cały pokój i uciekła do ogrodu, za nią pobiegł Pan Aplikant, a Pan Mateusz opuszczony i zaambarasowany, stał i nie umiał z miejsca się ruszyć; nakoniec przyszedłszy do siebie i przypomniawszy Aplikanta: „ośle przeklęty! pomruknął zapalczywie, ale tymczasem Aplikant już był z Kasią w ogrodzie.

Tak dzień przelatywał wesoło, gdy godzina podwieczorku nadeszła, Pan Szambelan z całą kompanią wychodził do gaju, tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole Boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznymi byli. Pan Bujnicki szanował i jednal sobie miłość nowego pokolenia swych ziom-

ków; była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich, z równą jak Pan Bujnicki rozkoszą, i z chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagabnąć którego malca o Panu Szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo, dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! W długich stodołach i odrynach ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy! Lecz harmonia i zgoda przy pilce, szydle i kręglach, pomieszała się przymiskach i garnkach: kłóćcą się, wrzeszczą, odbierają sobie łyżki, rozlewają mleko i biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo Pan Szambelan

poprowadził xięży i starszyznę na podwieczorek, na mleku zaś w odrzynach została lożna hołota.

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwejbaczkami ocukrowanemi których mamunie kopami nawiozły, i których większa część w profesorskich potem osiadła celach, zasila uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów; smakowite kożuszki łagodzą figle trojniczka, niżeli go w powrocie chłodny wieczorny wietrzyk do reszty wywieje.

Przeciągły podwieczorek doprowadził aż do zachodu słońca, zatem na skinienie Xiędza Prefekta dano niespodzianie hasło w taraban. Ach! ach! krzyknęły przełęcznione damy, „czas wracać” rzekła smutno dziatwa, i gromadziła się około chorągwi wbitej na środku dziedzińca, na który i cała kompania wyszła z po-

kojów. Rozpoczęły się więc pożegnania i powszechne i szczególne; Xięża prawili Panu Szambelanowi podziękowania, Pan Szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowały braciszków, Panowie Dyrektorowie zbliżali się do Panny Katarzyny: jeden tylko Pan Mateusz stał od niej zdaleka... Ten Pan Mateusz był to poeta szkolny, nie wiem jak go potém na świecie Apollo sekundował, ale w szkołach, on wszystkim na potrzebę *komponował* wiersze; on układał oracye studentom jadącym na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc do rodziców; Xięża Profesorowie nawet do niego się udawali czasami, gdy któremu pegaz zachromiał. Mógłże on znieść cierpliwie konfuzyę od aplikanta w obec kochanki sobie zadana, on poeta? *Genus irritabile?* Miłość i zemsta dwie najgwałtowniej-

sze namiętności serca ludzkiego, bez których ani romansów ani tragedyi nie byłoby na świecie, nie dały kosztować Panu Dyrektorowi ani pokoju, ani powszechnej wesołości, ani podwieczorku. Chodził on po gaju i dumiał, niekiedy mruczał, rozliczał palcami sylaby i średniowki, nakoniec pobiegł do stancyi ekonoma i tam z regestrów wydarłszy kartę, napisał prędko co wydumał i wsunął kartkę za nadrę.... Miłość i zemsta we czterech wierszach! wielkiż poeta z Pana Mateusza!!! Gdy więc szły pożegnania a Pan Mateusz stał zdaleka, Józio braciszek Panny Katarzyny porwał ją za rękę i ciągnąc do ogrodka: „chodź, chodź Kasiu, mówił zcicha, mam do ciebie wielki interes!”— „Cóż takiego? pytała, niechętnie oderwana od kompanii Panna Katarzyna, mów prędzój.”— „Na! masz, rzekł figlarnychłopiec wciskając jój wrękę kartkę papieru, „masz, to od Pana Dy-

rektora, czytaj!" — i uciekł. Ciekawa dziewczyna rozwinęła kartkę i przeczytała takie wiersze:

„Ani Wenera, ani Prozerpina,
 „Nie jest tak piękną, jak ty Katarzyna!
 „Wartaś miłości i ślicznego kanta,
 „Od samego Jowisza, nie od Aplikanta!"

Zarumieniła się Kasia, schowała prędko kartkę do woreczka i wyszła z ogródka. Wtenczas zbliżał się po raz kilka do niej Pan Mateusz, ale ona tak zawsze stawała obok mamy, że słowa do niej przemówić nie mógł. Tym czasem Pan Kazimierz bił na zabój w bęben, zabrzmiał marsz, ruszyła zatém chorągiew za bramę, a za nią wszyscy. Jednakowoż Panna Katarzyna miała czas chwycić Józia za rękę i szepnąć mu do ucha: „dowiedz się Józiu jakkolwiek od swego Dyrektora, kto jest panna Prozerpina i czy daleko mieszka? a powiesz mnie jak przyjedziesz na wakacyę: pamiętaj Jó-

ziu! panna Prozerpina.”— Kasia bowiem jak rozkalkulowała sobie wierszyki boruńskiego poety: „o Wenerze wiem, bo to jest w kilku pieśniach światowych: była ona niegdyś jakąś boginią — Jowisz?... ponieważ Pan Hyacynt jest aplikantem Jowisza, więc Jowisz musi być mecenasem w Oszmianie; ale *Prozerpina?* to sęk; pewnie to jakaś ładna panienka, a może i mężatka... dowiem się o wszystkiem przez Józia.”

Gdyby Kasia trzydziestą laty później się urodziła, gdyby w dzisiejszych czasach we świetnych naszych pensyonach brała wychowanie, w dwunastym roku wieku swego wiedziałaby kto Jowisz a kto Prozerpina, i gdzie oni mieszkają; tańczyłaby z prześlicznem wymuszeniem kontradanse; ale... czy byłaby tak czerstwą i wesołą dziewczyną? czyby tak rzezwo i zręcznie wyskoczyła kozaka?

Wracamy więc: rój nas około Xię-

dza Prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym gęstym i szumnym posuwa się kłębem; reszta odlotków długim po gościńcu ciągnie się pasmem, i odstrzela się pojedynczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na nim jak na tle czarném odbite gmachy białe Kościoła, klasztoru i wież Boruńskich, dokończony od razu a poważny i uroczysty dają obraz. Gdy daleki wędrownik do Borun, z pobożnym i religijnym uczuciem, zbliża się tu z pokorą i nadzieją cudownej łaski i pociechy w smutkach i utrapieniach: lub po największe dobrodziejstwo w dolegliwościach ciała, po zdrowie: przedstawujący się mu natenczas z tej góry we wspaniałym i smętnym razem obrazie cel jego drogi, pokrzepia mu zapewne siłę i czułą

ufnością napełnia serce. My bez żadnego względu, z jednostajnym wesołym odgłosem, schodzimy z góry i zbliżamy się ku Borunom; lecz tu raptem hałas na przodzie ustaje, a w tylniej straży powiększa się gwałtownie: dwa przeciwne zjawiska razem na obu przeciwnych ukazały się stronach. Obudzona naszym marszem, odpoczywająca w krzakach przy drodze po nowym kursie po dworach okolicznych i po sutych traktamentach Raducina, ukazała się nagle chłopcom, z których jeden zostawszy zajęcem, wodził za sobą po zaroślach docierających gęsto kilkanastu strzelców; nagle i żwierzyna i myśliwi zaczęli uciekać do gromady, a za nimi wyszła na drogę z wielką zieloną gałęzią w ręku czarownica.— „A czegoż uciekacie? czy to mnie nie poznaliście?” wołała ona, „Jasiu! Leonardku! Antosiu! a wiecie wy kto wam mamunie i siostrzyczki do Zahorza spro-

wadził? Moje to stare nogi przez noc całą mordowały się za tym interessem.” XiądzFizyk powiedział marsz Raducina! i Raducina nogi za pas i marsz! a wy krzyczycie na mnie jak na hamana! poczekać!”.. Pędziła więc przed sobą baba, wywijając gałęzią jak miotłą czarowniczą, zgrając maroderów uciekających z wrzaskiem; lecz wkrótce zwolniła kroku, poczuła bowiem niepewność w nogach i zawrot niejakiś w niewyspanej jeszcze głowie; podpierając się więc tąż samą brzezina, wlokła się z tyłu za nami, słaniając się po trochu i wyśpiewując piskliwie, jakby nas do powrotu napędzała. „Pójdźcie! pójdźcie! gąski moje do domu.”—O kilkanaście kroków od drogi, na stoku wzgórzka, jest cmentarz wiejski kilką krzyżami i mnóstwem плит kamiennych jakby z ziemi wyrosłych sterczący, a kilką staremi sosnami ocieniony:

miejsce wiecznego spoczynku poczciwych naszych boruńskich gospodarzy, a kiedy niekiedy i młodego chłopca kończącego śmiercią naukę! Miejsce to nie odmieniło się i teraz bynajmniej; pomnożone tylko głazy i krzyże, świadczą coraz liczniejszych do ziemi przybyszów, a teź same, i jedną gałązką nieuschle jodły, żyją tam wśród powszechnego niezycia, żyją jakby na przekór śmierci w jej własnym domu, i ssąc jak upiory zastygłą krew cudzą na własne soki, długo jeszcze żyć będą i przyjmować codzien pod swe stare konary zmarłych boruńskich mieszkańców!!! Pod jedną z nich Ojciec Onufry pogrzebał syna i żonę swoją; dla tego co wieczor, gdy dzwony z wieży kościelnej głosiły godzinę zadusznego pacierza, obaczyłbyś między głazami cmentarza, klęczącego na ich grobie i równie jak głaz niewzruszonego, tego nieszczęśliwego ojca i męża. Chwila

powrotu naszego z majówki zbiegła się właśnie z chwilą modlitwy pustelnika, i jedna drugiej ujęła gwałtowniejszych wzruszeń: w płaczu i śmiechu jedna złagodziła drugą; pustelnik otarł łzę postępując ku zbliżającym się swym przyjaciołom, studenci poprzestali hucznego śpiewu widząc łzę nieszczęśliwego swego przyjaciela. Powitany więc serdecznie łączył się z nami Ojciec Onufry i postępowano dalej..., aż przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; natenczas dziatwa złamawszy szyki i porządek rzuciła się do miasteczka jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana tłuszcza rozsypała się po kwaterach, xięża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych, pustelnik szepcząc pacierz wieczorny przeciągnął powoli po ulicach, zmierzając ku swojej chatce, i gwar ustawał ciszej

i coraz ciszej; aż nakoniec noc piękna majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

IV.

Kościół i szkoła, są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czysca, jak pogoda do słoty, tak się ma jedno do drugiego, zwłaszcza w Borunach, gdzie gmach kościoła wspaniały zewnątrz a ozdobny wewnątrz, zawiera wszystko co oko i umysł dziecka zdumieć i przywiązać może. Gdy brzmienie dzwonów ranne, niedzielne, zapowiada studentom dzień odpoczynku i zabawy: to w każdy inny dzień powszedni, dzwonek szkolny przeraźliwym brzękiem, jakko swarliwy gdéra budzi ich ze snu miłego, i po dwakroć powtórzoną zrzędą pędzi do kłopotów i pracy; gdy w uro-

czyste święta kościół się ubiera wspa-
 niale, gdy przyzywa dzieci do posług
 u ołtarza, gdy je obleka w piękne białe
 komże, jako w szaty niewinności i we-
 sela: szkoła natenczas, jak złośliwy za-
 zdrośnik, zamyka drzwi swoje i czeka
 w milczeniu końca uciechy, aby ich
 znowu ogarnąć i gnębić; w kościele hy-
 mny i pieśni chorem hucznym powta-
 rzane, miłe sercu i uchu studenta, bo im
 echo z domowój, przedszkolnej jeszcze
 odzywa się bokówki; w szkole płacz po-
 wszedni codzien, a arcy-płacz co sobota;
 w szkole za piecem na pieńku z groźném
 okiem, z dyscypliną w rękę, *Strach*,
 starzec nieznośny, wychudły, na ły-
 chciwy, na modły i prośby nieczuły!
 biada gdy on swój pieńek na środek
 szkoły wytoczy, biada natenczas, biada!!!
 I nakoniec, dla dokonania i usprawiedli-
 wienia niejako tój różnicy, oczekiwany
 utęskliwie przychodził w końcu Czerwca

Piotr Sty, i w jednéjże chwili kluczami swemi zamykał szkołę a otwierał studentom drzwi kościoła, na uroczyste podziękowanie Bogu za przebycie i dokończenie pracowitego terminu nauki i na publiczny z niej popis, a potem puszczał ich wszystkich do raję, to jest na wakacyę do domu. To też w peregrynacyach moich po miasteczku oziębłe minąłem opustoszały dom szkolny, traciłem nogą, jakby wyschłą czaszkę głowy nieprzyjaciela, spadły na ziemię i walając się na dziedzińcu wyszczerbiony dzwonek, a poszedłem wnet do kościoła abym zakończył wspomnienia dziecinnego wieku tam, gdzie też i sam wiek dziecinny zakończył; gdzie złożyłwszy dowód niby doskonałości w naukach, student wyzwała się na młodzieńca, bierze błogosławieństwo kościoła, życzenia nauczycieli, i z ciasnych drożek szkolnych, wychodzi na szerokie roz-

droże świata..... Rozpamiętywając akt ten publicznego popisu i pożegnania szkoły, stajemy na granicy jednej najpiérwszej cząstki naszego życia, którą przechodzimy z niesmakien, kończymy z radością, a jednakże wspominaemy z tęsknotą, i ubiegłej zazdrościm!

Wspaniała nawa Boruńskiego kościoła w dniu pożądanym 29^{go} Czerwca napelniała się około nieszpornéj godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu nawet: obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszków na wesołych główkach młodych mamuniek lub młodszych jeszcze siostrzyczek, obaczyć można było gredyturowy kaptur, lub nastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwém i rumianém licem pani ekonomowéj; obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana Szambelana lub pana Budowni-

czego taratunki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin po paniczów przysłany. W ławkach po prawej stronie, i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzesel, umieszczał się ten tłum różnówzory: babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przodzie: dziadul-kowie, ojcowie, wujaszki i stryjaszki z tyłu. We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się na przeciw publiczności, a tym czasem xiądz Fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i baterię butelek Lejdeyskich: xiądz Matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam xiądz Prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erazty*, wyformowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyj*

z koperdymentami, mającemi potem w ramkach i za szkłem figurować na ścianach domowych jako pamiątki talentów szkolnych: kładzie się złotą zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową... świat! Nakoniec wszystko się uszykowało, i wszystko pójdzie jak z płatka, bo całe programma już kilkanaście razy przeprobowane; więc na skinienie z dołu, symfonia studenckiej muzyki na chorze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkiemi językami witają publiczność. Ach! czemuż tych oracyj nie pamiętam? Jakiż wymowny i rozmaity appendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie, a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatulka, poznałbyś czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozda-

ne jakby kwiaty z kosza koperdymentu, zajmują bardziej pleć piękną a niżeli całe popisy; ta dostała różę rozkwitłą i wielką jak talerz, tej przypadł tulipan błyszczący jak dzbanek ze złota, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z całym koszem kwiatów na kapitelu; u tamtej kupidynek mierzy strzałką do ogromnego rycerza, u którego godłem na tarczy napis: „Kwestye szkoły Boruńskiej na klasę Vtą.— Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaiku i nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach i równyż talent w wykonaniu!!! Zaproszeni na egzaminatorów pan Podkomorzy, pan Szambelan i pan Budowniczy, wystąpili na środek; nie byłoby żartów z tymi pannami, gdyby oni alwar swój przypomnieć chcieli: ale mając kwestye w ręku

nie sądzili przyzwoitóm ambarrasso-
 wać uczniów i nauczycieli innemi py-
 taniami, które, ktoż wie, jakby się po-
 wiodły: na zadane zaś z pisma odpo-
 wiadano wyśmieniem, bo nieukom w wi-
 gilią wyjechać dozwolono. Szedł tak
 popis klass pierwszych z pochwałami
 sypanemi szczerze każdemu chłopco-
 wi i przedłużałby się dalej, ale stojący
 przy swojej elektrycznej machinie xiadz
 Fizyk, zniecierpliwiony zawołał: „Klas-
 sa czwarta mosanie z Fizyki! Co to jest
 piorun?—odpowie pan Leonard.” Pio-
 run, odpowiedział głośno i śmiało pan
 Leonard, jest to elektryczność, a do-
 wodem tego butelka Lejdejska.—„Bra-
 wo! wysmienie mosanie! a zatém proszę
 do maszyny i zrób nam Wasan piorun
 mosanie!” Powszechna protestacya prze-
 ciw temu experymentowi objawiła się
 w damach, ale swiadomsi rzeczy exa-
 minatorowie osmielili wszystkich, i pan

Leonard pokręciwszy przez kilka minut banię, nabił baterję i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył a wszystkich zabawił. „Pan Xawery powie nam Mosanie o balonach odezwał się znowu xiądz Fizyk.—„Wielki ten wynalazek”—...na złamanie karku, przerwał ktoś z tłumu—xiądz Fizyk spójrzał ostro w tamtę stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy, a pan Xawery niezmiuszony historyję i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności.—„Teraz z matematyki,” zagadnął pan Podkomorzy, podobno dla honoru Urzędu swojego.—„Ale Mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umięją upewniam!”—„To się znaczy o Elementach odezwał się Pan Szambelan.”—O jakich Elementach Mosanie?—nie masz już Elementów, skasowano je.—Jakto skasowano? w Imię Ojca i Syna! któż, chyba Pan Bóg.—Nie

Mosanie, *Pan Lavoisier*; jak zaczął rozbierać po jednym, przyszło do tego że i żadnego nie zostawił, a natomiast mosanie wynalazł kwas....” — Zwarjowałeś się Fyzyku! co gadasz! rzekł zadziwiony pan Szambelan, i zająłoby mogło na wielką dysputę, lecz zniemacka trzecioklasista przy tablicy wykrzyknął cienko a dobitnie: *Centum bovum!* — „Masz panie Szambelanie, rzekł uśmiechając się xiądz Fyzyk, masz Alimenta, *centum bovum* sto wołów, a to na kwitę za Elementa; *litera nocet, litera docet* mosanie, a powtarzam panu, że Elementa skasowano.” — Proszę uniżenie! do czego to przyszło, mruzczał pan Szambelan, na miejscu elementów...kwas!, Kwadrat, z przeciwprostokątnej, równa się dwóm kwadratam z dwóch innych boków” i t. d. wrzeszczał tymczasem malec, i zwrócił przecież uwagę na swoją stronę. Tak przebiegano a raczej przeslizgiwano się

lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyj wierszów i prozy z celniejszych naszych ośmnastego wieku Autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie opisanie oblężenia Troi, piramid Egipskich ogrodów Babilońskich i urodzajów Assyryjskich, jakim podobnych że nigdy w Litwie nie było przyznali zgodnie słuchacze. Był na placu i globus, a pośrednie między geografią a astronomią trzymając miejsce, kolejną dla pierwszej lub dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice. Powstał nakoniec xiądz Prefekt, i roztworzywszy xięgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisanych w niej imiona celujących w każdej klassie uczniów, i promocyę ich do klass wyższych. Nie wiem jak to się zdarzało, że synkowie obecnych na examinie rodziców, najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjasniały się twarze rodziców i syn-

ków radością niewymowną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugich, lecz subordynacya szkolna, równie scisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach, i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia parady. Lecz zostaje jeszcze mowa—mowa to pożegnalna, do której występuje uczeń kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mówcy i szkole. Sam ją niegdyś dla siebie w pocie czoła układałem, i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona, tak jak i inne podobne kollegów moich, 1^o wyrażenie wdzięczności dla Nauczycieli; 2^o pożegnanie kollegów; 3^o filozoficzne myśli o marności świata, a o wielkiej ważności nauk; 4^o o Arystotelesie nauczycielu Alexandra wielkiego, i nakoniec 5^o uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności sobie i całemu prześwietnemu Publicum. Po

skończeniu tego arcy dzieła elokwencyi, ruszano się z miejsc ... Wtém w śród huku trąb i kotłów, opadła zasłona ołtarza, i obraz cudowny Matki Boskiej w świetnej gwiazdzie z drogich kryształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały napelniający świątynię, upada na kolana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani, pospólstwo, ubodzy napelniający kruchtę, wszyscy pokorne do ziemi schylają czoła; natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występuje z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dzwiecznych a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus!!!* etc. Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się na ten czas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców, matek i dzieci! Spiew się ukończył; chwila potém

cichej powszechnej modlitwy; aż znów..
..zwolna podniosła się zasłona i zakryła obraz. Podniosło się więc razem i zgromadzenie, a na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa, i zupełne z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrzmiał nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kalwakata cały zapelniała rynek. Pożegnania się kolegów bardziej szumne niż tkliwe, gwar powszechny tak licznego zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienkie wykrzykiwania płci pięknej; wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz która całemi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu, i co raz wolniejszym zostawiała tło samo onego, to jest rynek bo-

ruński. Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpięzchło strony, a rynek został pustym i głuchym tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja oparty o drzwi kościoła, stoję samotny i okiem mej duszy widzę tu rozsypanych przedemną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil dni moich dziecinnych. Gdzież są oni??? „*gdzie są moi współ-wędrówcy...?* (*) Ach! trąba już chyba Archanioła, zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś, dla wydania ostatniej pensy, przed wielkim Audytorem całego świata!

(*) Zaleski — Duma Ukraińska.



OBRAZ III.

ŚMIERĆ MOJEGO DZIADKA.



ŚMIERĆ

MOJEGO DZIADKA.



Woda w górę nie póplynie,
Co dziś świeci, jutro zgasło!
Przeminęło, mija, minie,
To ludzkiego życia hasło!!!
Lecz nie minie wiecznie żywa
Święta przodków naszych wiara,
Nie minie mądrość prawdziwa,
I poczciwość nasza stara!

Ignacy Chodźko.

UROCZYSTE święta nasze są to corocznie wracające epoki domowych dziejów naszych. Zebrania się natenczas i odwiedziny krewnych, odległych przyjaciół

i sąsiadów, podczas których, połączone w jedno grono przywiązane do siebie osoby, wylewają się na wzajemne dowody serdecznych ku sobie uczuć; zupełne uwolnienie się od prac i zajęcia się codziennego, a oddanie się spoczynkowi lub rozrywkom właściwym każdemu wiekowi; wesołość szczerą i poufałą, panująca w domu obejmującym natenczas to miłe zgromadzenie, przemieszane pospolicie gromadą dziatwy, która jakby małe ogniwka, łączy większe pierścienie familijnego wieńca; a cała ta szczęśliwość i swoboda, obleczona uroczytym i bogatym płaszczem religijnych obrzędów, głęboko się wpaja w wyobraźnię i niezatarte zostawia rysy w pamięci!

Cóż dopiero, gdy, jak to najczęściej bywa, łączą się razem wspomnienia szczególniejszych wypadków życia naszego w dniach takich zdarzone? Śluby

małżeńskie, wesela, przenosiny, zaręczyny, lub nawet piérwsze poznanie się i piérwsze miłośne rażenia młodych serc, połączonych potém nawzajem, lub rozdzielonych nazawsze, lecz nie mogących zapomnieć chwili, w której piérwsze tkliwe odniosły wrażenia?

My jednak zapominamy już tego sposobu obliczania się z czasem. Oznaczamy wszystko na proste daty; lecz pasmo życia ojców i dziadów naszych, pospajane w główniejszych punktach z religią, miało w sobie niejakąś patryarchalną świątobliwość i cnotę. Żadna burza życia nie mogła oderwać go na bezdroża, tak, jak najmocniejszy wichur nie zdoła oderwać i rzucić na wiatr pnącój się rośliny, mdlój, ale uczeptionój gałązkami do skały!

Jleż to razy usiadłszy w sadzie pod rozłożystą gruszą, lub na ulubionym pod krzyżem kamieniu, dziadunio mój roz-

powiadał mi domowe dzieje spokojnego swego żywota, licząc je na święta kościelne? Rodzic mój nieboszczyk, a twój pradziadulek, PANIE świeć nad jego duszą, mówił on, umarł w zgrzybiałej starości na *Rożańcową*. Bóg mu zapewne dał ten termin za to, że codzień różaniec święty nabożnie odmawiał. Matki mojej nie pamiętam, odumarła mię w niemowlęctwie. W lat dwie po śmierci ojca, gdy macocha moja, zabrawszy swoją substancję i przemyśliwając *circa renovationem connubii*, wyniosła się oedynie, zapoznałem się na *Zielone Świątki*, jak dziś pamiętam, w domu nieboszczyka Podstolego Smoleńskiego, z moją pierwszą żoną, która także w Bogu spoczywa, a natenczas panną Bogumiłą, siostrzenicą gospodarza, podczaszanką ziemi Nurskiej. Skłoniłem ku niej moje afekta, i tak nad podziw szczęśliwie pozło, że za błogosławieństwem Boskiem

i rodzicielskiém, nastąpiły wnet i zaręczyny. Pan Podczaszy, przyszedł teść mój, wielki sensat, łaciennik, upodobał mi nie od razu. „*Est facies testis, qualis in trinsice estis*” — z twarzy znam cię żeś poczciwy, powiadał on. Podstoli wyprawił suty bankiet, akt zaś weselny odłożono pod jesień na święty *Michał*, na dzień patrona pana Podczaszego. Na bliższy termin nie zezwolił, chociaż ja usilnie o to błagałem. „*Nemo sapiens, nisi patiens*”, panie zięciu! mówił on, i dawał nadto:

„*Bywaj gościu u mnie
Kiedy żytko w gumnie!*”

Chudoba moja szlachecka nie wytrzyma bez sukursu jesiennego licznój weselnej frekwencyi, i waszeć panie zięciu lepszego piwa nawarzysz, kiedy z własnego, a nie z pożyczanego jęczmienia.” Musiałem tedy *volens nolens* przystać.

Rozmaite potém ludzkie *calumnia* i *perversie*, o których żal wspominać, i którym, pamiętając na „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” dawno już przebaczyłem i zapomniałem, przeciągnęły nasz ślub aż do *Trzech Króli*; bo na *Boże narodzenie* kościół święty ślubów zabrania. Natenczas teść mój powiadał:

„*Predestinata neminem fallunt.*

„*Co się przewlecze, nie uciecze.*”

Jakoż i nie uciekło, pobraliśmy się szczęśliwie. Xiądz przeor Karmelitów Głębockich, odśpiewawszy kolendę „*Exultemus et letemur!*”, wziął za assumpt do perory przedślubnej też same słowa, i komparując potém gwiazdę, która trzech króli do Betleem przeprowadzała, z gwiazdą moją fortunną, która mnie w progi pana Stolnika zawróciła— wróżył ztąd dla nas *in futuris* wszelkie i szczególniejsze sukcessa i *konjunktury*.

Pobłogosławił nam potem, a chociaż te prorokowane szczególniejsze *sukces*a nigdy nam nie wypadły, wszelakoż cieszyliśmy się na weselu, cieszyliśmy się tutaj na przenosinach, a dzięki Bogu cieszyliśmy się i potem przez lat trzydzieści, w jedności i zgodzie naszego małżeńskiego pożycia. Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilię *Zwiastowania Panny Maryi*, więc i daliśmy jój imie jakie sobie przyniosła, *Maryi*, polecając ją szczególniejszej opiece Matki Boskiej!...”

Niemile potem wspomnienia zaspiały czoło staruszka. Śmierć ukochanej piérwszej żony, której tém więcej żałował, że i sam po jój zgonie w lat kilka, postanowiwszy *renovare connubium*, trafił na zrzędnicę, która mu kilkanaście lat życia zatrula, i o której dobrze wspominać nie mogąc, a źle wspominać nie chcąc—żadnych uroczystych

datt nie zachował w pamięci. Nie wspominał także przedemną najboleśnięjszego ciosu w życiu swoim, utraty córki jedynej; bo wiedział że wzbudziłby w mém sercu dziecinném, ale przywiązaném do matki, gorzki żal, i obaczyłby łyzy rzewne na twarzy, na której wesołość i ciekawość w przysłuchiwaniu się rozpowiadaniom swoim, widzieć lubił. Więc pomilczawszy trochę wzdychał mój dziadunio głęboko, kiwał głową, i kończył na— „Oj! tak to było moje dziecię! tak! tak!— A po nowój pauzie dodawał:— Wkrótce podobno przydadzie summę do tego rejestru mojego życia, to jest dattę końcową:

*Bóg widzi, czas ucieka,
Śmierć goni, wieczność czeka!*

„Cóż robić! ośmdziesiąt szósty rok wkrótce zakończę. „*Fiat voluntas tua Domine.*” O mój Boże daj mi przed Majestatem Twoim połączyć się z temi,

z którymi na tym padole płaczu sercem i duszą złączony byłem!!!” Tu ręce i oczy ku Niebu podnosił pocziwy starzec, którego życie opisawszy (*), śmierć teraz szczęśliwą, spokojną i chrześcijańską opisać pragnę. —

Przeciagle brzmienie dzwonów bliższego parafialnego kościoła, rozlegające się letnim pięknym wieczorem po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zazwiastowało uroczystość Bożego Ciała nazajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój, wywlókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi, z izby pod krzyż, i tam siedząc szeptał swoje modlitwy; ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając aż zacznie litanie, kończącą zwykle wieczorne pacierze. — Wtém echa niespodzia-

(*) Domek mojego dziadka.

nym dźwiękiem uderzyły nam w uszy!!! Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktownie rękę do przeżegnania się.... zatrzymał ją potem nad czołem.... Ja zdziwiony wzrok mój ciekawy nań obróciłem. Po chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio i rzekł powoli a spokojnie: „Jutro!... tak po mnie zadzwonią!!! — Jak to kochany dziadunio? rzekłem mocno wzruszony; dziadunio dziś masz się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci! — Moje dziecię! w moim wieku już nic nie wraca się człowiekowi, co odeszło!.... umrę jutro! — I podnosząc głos dodał: Bóg mi to objawił!!! — Kiedy? zapytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie mój kochany wnuku!

— Ja nic nie widziałem Dziaduniu! — Rozumiałem bowiem że było mu widoczne cudowne objawienie, o jakich nie

raz mi rozpowiadał. — Nie rozumiesz mnie, moje dziecko! Coż ja jestem? marny zlepek gliny! czyliżem godzien aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie moje dziecię! Ale ledwom zaczął modlitwę o uproszenie szczęśliwój śmierci, uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie że to jest *praesagium* szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich! O gdyby jeszcze w czasie tak wielkiego festu jak jutrzejszy, Bóg mię przed swój Majestat powołał! uznałbym wyraźne miłosierdzie jego nademną!!! Zmówmy moje dziecko razem i na moją intencję modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę!

Nie znałem ja natenczas, bo nie doznałem był jeszcze, że są w życiu ludzkiem wieszczę przemknienia myśli, które nazwaćby można, *błyśnieniem prze-*

wracającej się karty w xiędze przeznaczeń naszych! Przeczucie? instynkt? czy objawienie?— jakkolwiek to uważać czy mianować mamy, zawsze znajome są one każdemu, bo któż ich w chwilach niepewności, trwogi, nadziei, a nawet w chwilach zupełnej spokojności duszy nie doznał? Szczęśliwy, ktoby tę kartę tak podjętą mógł zatrzymać i przebiedz! ktoby przynajmniej przestrożę tę w przelocie pojmać i w pamięć swą wpoić zdołał! Ale nie! karta przeznaczenia w mgnieniu oka się przewraca, myśl prorocza mignie jak błyskawica i ginie jak błyskawica!!! a powraca zapomnieniem natenczas, kiedy się wyrok już ziścił.

Kończyliśmy modlitwy, gdy zbliżył się do nas Pan Jakób.

Człowiek ten należał do licznego jeszcze natenczas, a dziś wygasłego zupełnie bractwa rezydentów i dworaków,

rozsypanych gęsto po kraju, których, jako wchodzących w skład nie jednéj szlacheckiej ziemi i nie jednego obrazu tamtoczesnych domowych obyczajów, wprzód ogólne i całemu bractwu właściwe wspomnę przymioty, niżeli jednego z nich, Pana Jakóba, towarzysza ostatnich lat życia mojego dziadka, dam poznać.

Dzielili się rezydenci stosownie do wewnętrznego swego powołania i posiadanych talentów, na *Myśliwych*, *Rybaków* i *Masztalerzy*: skrzypeczka, nie stanowiąc oddzielnego fakultetu, do każdego składnie przypadła, i zwiększała zaletę i wesołość dworaka. Każdy z nich, posiadając wszelkie doskonałości swojej professyi, miał jeszcze, jak to wyżej namieniłem, reguły i zasady, jakby dawnych rycerskich zakonów, całej kongregacyi wspólne, to jest: ochotę do nieustannéj włóczęgi, póki zdrowie i

własne, lub darowanego konika, nogi służyły; nienawisć do ciągłego zajęcia się i pracy; nakoniec większy lub mniejszy pociąg do *Aquaevity*. Wdowcy bezdzietni, lub starzy kawalerowie, nie mieli oni pospolicie żadnych ścisłych związków ani obowiązków. Każdy dom szlachecki był dla nich familijnym, bo wszędzie chleb powszedni i kąć opiekuńczy z ochotą dla nich otwarty znajdowali. Owszem, w czasach gdy każdy gospodarz pilnując własnej grędy, nie wiele zewnętrznych miał stosunków i związków, zbiéracz taki i rozwozca nowin, wiadomostek, anegdot, *dykteryek*, przybywający z życzliwém sercem i z wesółym humorem do domu, zawsze pożądanym był gościem, i wraz poufałym stawał się domownikiem. — Wreście przywiązanie szczére do familiów, około których się żywili, i poczciwość prosta, nieinteressowana, zalecała ich wszyst-

kich. Nie wiele żądali, bo wszystkie ich konieczne potrzeby życia, bez pracy i kosztu, bez proźb nawet, ludzkość i dobroćliwość staroświecka ojców naszych opatrywała. — Wszakże, w przypadkach tyczących się ich szczególnych talentów i professyów, dozwalali oni sobie niekiedy małych wyboczeń od ściśle sumiennój ścieszki. — I tak: nie raz po wizycie myśliwca zgiął z psiarni dwornój, sławny w całej okolicy *Szumlas* lub *Zagraj*, a gonił potém zająca o mil kilkadziesiąt. Nie raz młody panicz przepłaciwszy lub wyhandlowawszy z wielkim przydatkiem zachwaloną kasselkę, na piérwszój zaraz ochocie chybił celu i zwierzyny, a zatém poznał z żalem i szkodą własną, wartość i rzetelność zaręczeń Pana Piotra lub Pana Grzegorza. Po takich jednak figlach, tęsknił każdy za powrótem starego franta, bo bez niego, polowania nie miały

zapału, obławy porządku, a najbardziej nie było owój hucznej myśliwskiej wesołości, którą on tysiącem kłamstw pociesniejszych jednych nad drugie, umiał zawsze ożywić i utrzymać, a która jak wiadomo, jest najpowabniejszą zachętą i nagrodą myśliwskich trudów.— *Z Masztalerzem*, handlarzem i lekarzem koni zawołanym, najlepszemu jego przyjacielowi nie życzyłbym wchodzić w stosunki, w którychby pokusa nabycia handlem lepszego konia, opanować go mogła; bo natenczas nieoszczędził on zaręczeń najsołenniejszych, a w ostatniej potrzebie przysiąg nawet potocznych, aby wmówić przekonanie o wybornych zaletach swojego konia, którego dla przyjaźni tylko i przysługi na zamian puszczał. Ale też w domu gdzie zajechał i przebywał, zastępował on najściślej i najochotniej w stajni oko pańskie, które wedle dawnego przysłowia, tuczy

koni: i jeżeli sam nie zaniedbał podpomódz sobie wszelkiemi sposobami do oszukania, choćby swojego gospodarza, to już za to, nikomu innemu oszukać go nie dozwolił. Był to przyjaciel, który w pojedynku z sobą, sztuką czy zdradą zwyciężył, ale w pojedynkach z drugiémi, obronił. — *Rybacy* nakoniec, do których właśnie i Pan Jakób należał, prostsi i spokojniejsi od piérwszych, mniej też ze swego powołania miéwali powszednich grzechów na sumnieniu. Wytrząsł on niekiedy nie swoje węcierze; osławił wyborne tonie dla zachowania ich sobie, a sieć cudzą, obietnicą sowitego połowu, na karcze i wiry wprowadził. Te i tym podobne małe ustérki, których Pan Jakób i jego współbracia niekiedy się dopuszczali, zapominały się im tém łatwiéj, że gdy się dobrze w niewodzie powiodło, udzielali oni ryby wspaniale wszystkim, pracując tylko na

chlubę i wdzięczność, której co piątek i sobota przy każdym smacznym z ryb półmisku pewnymi byli. — Te główne działy *rezydentów* dałyby się jeszcze na kilka poddziałków rozgałęzić: *Ogrodników*, *Lekarzy* od bolenia zębów, wysłużonych domowych, PP. *Dyrektorów*, a nawet *Poetów*! Ale dość i téj krótkiej wzmianki i opisu, abyśmy przypomnieli sobie ludzi, żyjących bez troski, a przed którymi troski uciekały z domów; z pomiędzy których nie jeden z nas miał piastuna dni dziecinnych a mentora i najżyczliwszego domownika w młodzieńczym wieku; którzy nakoniec niktęli z pośród nas jak usychające jedne po drugich drzewa w ogrodach, którym ziemia pożywczych soków odmawia! — Takim był Pan Jakób. — Nim wiek młodszy i siły mu wystarczały, odbywał i on swobodne wędrówki; powodem jednak jakiegoś z dziadul-

kiem moim *kolligacyi*, zawsze na zimę, jak do głównego fundum, do jego domu przybywał. Lecz gdy szósty krzyżyk poczuli na barkach, zaniechał wojażów, oddał starego swego konia kwestarzowi bernardyńskiemu, i osiadł na zawsze przy moim dziadku, współsługą, współprzyjacielem, a zawsze Panem Jakóbem, gotowym na każde zawołanie Pana Skarbnika, czy to do rzeczewistój, byle nie dłużej, w gospodarce pomocy; czy to do pacierzy; czy to do marjasza lub ćwika, dla zabawienia gościa lub rozrywki gospodarza; czy to nakoniec do rospowiadania w czasie długich jesiennych wieczorów, rozmaitych historyi, zaczętych częstokroć w pokoju dla panów, a gdy ci nie dotrzymawszy do rozwiązania rzeczy, spać poszli, kończonych na folwarku dla czeladzi.—Wzajemnie Pan Skarbnik z poblązaniem i uśmiechem patrzył, gdy podczas festów, a nawet i

w niektóre niedziele, zdarzało się Panu Jakóbowi niepewną nogą, w późny wieczor, wracać do domu, przyspiéwując basem:

„*Oto to ja Pan,*
Oto to ja Pan,
I o nic nie dbam!.. ()*”

Zbliżył się tedy do nas Pan Jakób, w wyborzym humorze, bo niósł w ręku drgającego wielkiego szczupaka.

— Mości Dobrodzieju! krzyknął, mi-sa na jutro!

— Na pozajutro, odpowiedział mój dziadunio.

— Imainacya! pozajutro prawda piątek: no, to potrząsiemy znowu bucze, albo pojedę na zatoki: ale jutro pewni goście, więc zjemy *tego* za jegomości-ne zdrowie!—

— Panie Jakóbie, rzekłem zapłakany, dziadunio mówi że jutro umrze!—

(*) Dawna piosnka.

—Umrze? Imainacya! Jegomość chwiała Bogu zdrówszy, a zatém jutro razem z nami szczupaka konsumować będzie! Wstydź się jegomość takie rzeczy gadać! — No! bądź co bądź! Panie Jakóbie, rzekł mój dziadunio, ja proszę waszeci abyś mię posłuchał, i wszystko tak przygotował, jakby śmierć moja jutro nastąpić miała! Żyliśmy razem lat kilkanaście i nie zapomniałem o twoim chlebie na starość; to się najdzie w moim testamencie.... Bóg powołał do chwały swojej przede mną wszystkich, którzy mi tu miłymi byli; tęsknię oddawna do połączenia się z nimi na wieki!.... Został mi tylko ten chłopiec, wnuk mój! krew moja! *os ex ossibus meis!* i ojciec jego a zięć mój! Poszlij więc waszec po niego z oznajmieniem żem bardzo słaby, aby wraz przybywał.....— Czy jegomość do prawdy to mówisz? przerwał Pan Jakób, ociérając rękawem łzę na twarzy.

— Cóż waszeci do tego! prosilem abys czynił jak mówię.

Pan Jakób upuścił szczupaka i słuchał, a łzy coraz bujniejsze padały mu z oczu.

— Jeszcze dzisiaj pofatygujesz się do plebanii, kończył mój dziadunio, i poprosisz xiędza proboszcza, aby jutro przed nabożeństwem przybył tu dla wypowiedania mnie i udysponowania ostatecznego, wedle świętej religii naszej, na drogę wieczności!!! — Zamilkł tu staruszek, przymknął oczy jakby się modlił w duchu, a potem głośniej, z wyrazem głębokiego uczucia wymówił:

— „*Ne memineras domine delicta juventutis.*”

— No! Panie Jakóbie, teraz podpomóż staremu, pójdźmy, mam interest do spichrza. — Pan Jakób podał rękę i prowadził powoli staruszka, ja włókłem się z tyłu.

Zawołano ekonoma z kluczami, a gdy ten odemknął spichrz, rzekł doń dzia-
dek:— Wlóz waś z łaski swojej na gó-
rę; najdziesz tam trumnę, wysyp z niej
żyto, a trumnę spuść ostrożnie na dół.
Wlaził ekonom na górę i po chwili ode-
zwał się:— Jest trumna panoczku, ale ży-
ta, ani zboża żadnego w niej niema:
pusta panoczku! — Jako być może?
sam pamiętasz, że przed laty kilka, gdym
ją zrobić kazał, nasypaliśmy do niej peł-
no żyta!

— Prawda panoczku, pamiętam; ale
pękło dno — odezwał się z góry ekonom
— i wszystkie ziarno powoli wyciekło...

Pan Jakób, który wiedział że pan
Skarbnik, idąc za upowszechnionym na-
tenczas między pobożną szlachtą zwy-
czajem, miał gotową dla siebie, ale za-
wsze zbożem nasypaną trumnę; i któ-
ry wierzył, równie jak wszyscy zacho-
wujący ten obyczaj, że trumna nasypa-

na zbożem, robi spór w spichrzu, a pu-
sta jest wróżbą niezawodną śmierci go-
spodarza: usłyszawszy słowa ekonoma,
zalał się i rzekł zapomniawszy: — Ot
co teraz i ja powiem że prawda!...
Postrzegłszy się jednak, dodał skwapli-
wie: — Da to imainacya!!! — Ale mój
dziadunio uśmiechając się smutno — Aj!
nie imainacya, odpowiedział. Ziarno po
ziarnie wyciekało z trumny, a razem wy-
ciekał dzień za dniem życia mojego; i
oto nakoniec dóm wypróżniony, goto-
wy, czeka na przyjęcie mieszkańca!

W tym Ekonom pchnął nagle zgó-
ry trumnę, której połowa raptem na
wschodach się okazała... — Jezus, Ma-
rya, Józef! krzyknął Pan Jakób; ja prze-
łękły wyskoczyłem aż na dziedziniec;
wszystkie strachy, upiory, mary, któ-
rych pełną miałem pamięć, stanęły mi
razem przed oczyma: dziadunio mój na-
wet, nie mógł znieść spokojnie tego wi-

doku! — Odprowadź mnie na ganek pannie Jakóbie, rzekł z widoczném na twarzy umartwieniem, i pójdź do xiędza, a gdy powrócisz, znowu pogadamy.

Siedział potém staruszek przez czas niejaki na ganku, odpoczywając i prowadząc wzrokiem po całej swój dziedzinie; po całej chudobie i gospodarce, roztoczonej przed nim; po rozległej dolinie, na którą tylekroć przez ciąg życia swego poglądał!!! Smutnémi być musiały myśli i pożegnania jego!!! bo po kilkakroć oczy zachodziły mu łzami, i po kilkakroć wznosił je do nieba, błagając zapewna pociechy i uspokojenia strapionemu sercu!!! Nakoniec postrzegł mnie siedzącego odeń z daleka: — Moje dziecię! rzekł zdziwiony, cóż to? czyż mnie żyjącego jeszcze, już się lękasz? — Zgadł staruszek, bo w mojej wyobraźni nawykłój od dzieciństwa do dziwnych i przerażających o umarłych

powieści i urojeń, trumna ze spichrza już stała na środku pokoju, dziadunio leżał w niej umarły, xięża śpiewali, świece i lampy paliły się, wszystko było straszno, ponuro, i czarno!!!... Dziadunio mój zatém, siedzący na ganku, był upiorem, na którego trudno mi było spojrzeć śmiało, a tém trudniej doń się przybliżyć!!! Lecz wreszcie czułe moje doń przywiązanie przemogło: gdy spójrzałem na zasmucone oblicze starca, wyciągającego do mnie swe ręce; znikła trwoga, żal i miłość ogarnęły serce, i rzuciłem się w jego objęcie!

Dzień był na schyłku; słońce zniżając się ku zachodowi, osiadło nad lasem kończącym widnokrąg, i złociło żywym blaskiem dwa krzyże wysoko w oddaleniu błyszczące: tkwiły one i tkwią jeszcze na wieżach wspaniałego kościoła Buclawskiego, oddalonego na

mil kilka od domku mojego dziadka, lecz w dniach pogodnych dającego się łatwo postrzegać. Widok ten ozdabiający okolicę i miły zawsze oku dziadka mojego, zajął go tém bardziej w usposobieniu, w jakim teraz siedział ze mną na ganku. — Czy widzisz moje dziecię, rzekł on po krótkim milczeniu, jak się tam pięknie świecą dwa krzyże złote? — To *Bucław*! odpowiedziałem. — Tak, *Bucław*, moje dziecię! ale nigdy ci jeszcze nie opowiadał cudownego założenia tego kościoła i od czego to miejsce *Bucławiem* nazwano? (*) — Nie, mój dziaduniu! nigdy! i kiedy dziadunio łaskaw.... Rospogadzała się twarz staruszka, smutne przeczucia ustępowały widocznie nałogowej chęci jego, rospowiadania mi dziejów i pamiątek swoich: wróciła więc raz jeszcze, a to już raz

(*) *Bucław* miasteczko w Gubernii Mińskiej, w powiecie wilejskim.

ostatni chwila miłej, spokojnej, i prostej jako całe życie dziadka mojego, rozmowy jego ze mną, której ja tylekroć słuchając, przywykałem sercem i pamięcią do jego myśli i wyobrażeń, niepostępujących za biegiem czasu i rzeczy, lecz dogorywających powoli, pod niską strzechą, w domowym przybytku staroświeckich cnot naszych!... — Otoż moje dziecię, co do Buclawia, tak było: zaczął mój dziadunio.

— Jednego z dawnych *regnantów* w tym kraju, Alexandra Jagiellończyka (*) prosili Ojcowie Bernardyni wileńscy, których on podobno był i fundatorem, aby im wyznaczyć i darować raczył, lasu na opał klasztorny. Ale że i w tamtych czasach musiały być częste processa o dyfferencye i granice, których biédni zakonnicy obawiali się, błagali więc oni króla aby dla nich obrać

(* Historyczne.

kazał puszcę w takich pewnych granicach, o którychby nigdy żadnych wątpliwości nie można było wymyślić ani uczynić. Trudna to rzecz była moje dziecię, ale Bóg natchnął pobożnego króla, i wybrano podług proźby xięży a woli jego, włók lasu *praeter propter* ze dwieście, położonego między trzema rzeczkami *Serweczem*, *Terekiem* i *Zują*. Wyspę taką oddał król na wieczne czasy Ojcom Bernardynóm Wileńskim, aby siedząc w ciepłe, chwalili Boga i modlili się za duszę swego benefaktora.

— Dwadzieścia to i kilka mil od Wilna, ale Bernasie dali sobie radę; bo rzeczka Serwecz wpada do Wili; a tak każdój wiosny, po wezbranėj wodzie, splawiali oni sobie tyle drzewa do Wilna, że nie tylko na opał swego klasztoru, ale jeszcze i na pewny dochód wystarczało.

— Że jednak tak wielki i pożyteczny

obszar potrzebował pilności, a przez całą zimę trzeba było mieć pracowitych dozorców do wywożenia drzewa i do splawu; konwent przeto wileński posadził tam kilku braciszków, którzy na przebywanie swoje, kilka także budek wśród puszczy sklecili, i zbudowali małą kapliczkę, dla pomodlenia się codziennego i dla mszy świętej, którą przebywający na tej pustyni razem z niemi, a wysyłany po kolejce z wileńskiego klasztoru kapłan, codzień odprawiał.—

— Pewnego dnia zimą, moje dziecko, jeden z tych braciszków, objeżdżając lasy, wracał pod wieczór do bud swoich i noc go zaskoczyła w lesie. Mróz i wiatr cisnął okrótny, noc ciemna choć oko wykół, wilki były sztraszliwie; biedny więc xiężyna zwątpił o sobie, i polecił się Bogu, drząc cały od zimna i strachu. Nie wiedział on czy jest blisko, czy daleko jeszcze od domu, gdy zagnała postrzegł

wielką jasność, jakby ogień jaki, przeświecający się przez drzewa. Uradowany więc zbliżał się skwapliwie w tę stronę, myśląc że jeżeli nie na własne budy, z których nigdy się tak nie świeciło, to na insze jakieś mieszkanie ludzkie natrafił: ale jakże się zdziwił, gdy wybiwszy się z gęstwiny wążutką dróżką, ujrzał się pod samą swoją kapliczką, a nad nią postrzegł w nadzwyczajnej jasności, jak w słońcu, wizerunek Matki Boskiej, taki właśnie jaki był w jednym ołtarzu w kościele wileńskim (*). Uczyniwszy więc głęboką adoracyę cudownemu temu zjawieniu, pobiegł i pobudził konfratrów i kapłana. Zeszli się wszyscy, i wszyscy widomie ujrzeli toż samo zjawienie; popadali więc na kolana i modlili się, aż jasność i obraz zniknął; a konkludując że Bogorodzica przegna-

(*) Z miejscowego podania.

cza to miejsce na szczególniejszą chwałę swoją, oznajmili natychmiast o wszystkim do Wilna.

— Objawienie to powtórzyło się kilkakrotnie, a tymczasem przybyła na miejsce zwierzchność zakonna, i po zaprzysiężeniu naocznych świadków, sprowadzono z kościoła wileńskiego obraz, który się tak cudownie okazał, a który i dziś w wielkim ołtarzu w Buclawiu jaśnieje, i umieszczono go w ubogiej przybudach kapliczce.

Wnet się rozgłosiła sława miejsca tego, poczęły się zgromadzać tłumy pobożnych, a ztąd wynikła potrzeba obszerniejszego domu Bożego i mieszkania przy nim kapłanów. — Wzięli się więc do dzieła Ojcowie Bernardyni; oferty codzienne pospolitego ludu i dary pańskie, tak ich hojnie wspomogły, że w krótkim czasie za pomocą Bożą, zbudowali drewniany wprawdzie, ale przy-

stojny kościółek i klasztor dla kilkunastu zakonników. A że najpierw od *Bud* wszystko poszło, że podobało się Bogu ubożuchne to mieszkanie biednych sług swoich, cudem rozślawić; przeto wynikła i denominacya miejsca tego złożona z *Bud* i *Sławy*, *Bud-sława* a *per abbreviationem* *Budstaw* i nakoniec *Buclaw*.

Xięża zamienili potem obszar swój leśny na kapitał, który, gdy się podwoił z nowych funduszów i legacyi, stanął przeto z czasem kościół *magnifice* wmurowany, i klasztor takż: a tak pomnożyła się chwała Boża i pożytek ludzki; bo ze sto osob rozmaitej kondycyi żywi się i utrzymuje przy klasztorze: to w szkółce, to w bursie, to w posłudze kościelnej, to nakoniec w kapelli, która w każdą niedzielę i festa, piękną *rezonancyą* dodaje wspaniałości *apparencyom* kościelnym. Obraz zaś

słynać nie przestaje codziennie prawie łaskami Matki Boskiej! — Opowiem ci jeszcze moje dziecko..... W tém zjawił się Pan Jakób wracający z plebanii i przerwał z widoczném nieukontentowaniem mojego dziadka, rozpocząć się mającą nową historję. Nietrudno było poznać, że Pan Jakób w ciężkim smutku swoim nie folgował sobie w konsolacyi.... — Będzie Mości Dobrodzieju xiądz proboszcz jutro raniuteńko przed nabożeństwem; jest tam i xiądz definitor z Bucławia; kłania się jegomości dobrodziejowi! choć ze mną to inaczej było; nie bardzo grzeczne daliśmy sobie dobranoc! — A to dla czego? zapytał mój dziadunio. — Dla czego? Oto: ni proszony, ni dziękowany wyjechał on z deklaracyą, że zaraz zasiądzie pisać exortę przy wyprowadzeniu ciała jegomości! Schowaj się, powiedziałem, swoją ochotę i elokwencyą dla siebie! Pan Skarbnik chce

się spowiadać, to prawda, ale spowiedź nikogo jeszcze nie umorzyła, owszem często pomaga.— Na dobitkę potem zaczął dowodzić, że jegomość powinienęś kazać siebie pochować w habicie Bernardyńskim, bo jesteś teryciarzem ich zakonu.— Imainacya! odpowiedziałem. Pan Skarbnik jest szlachcic z dziadów i pradziadów, więc będzie pochowany w mundurze i kwita. On swoje, ja swoje; pop przy kapturze, ja przy mundurze! Od słowa do słowa, przyszło do tego że on mi powiedział: „Idź wasan spać boś pijany.” A ja powiedziałem, kocioł garnkowi przyganę daje..... trzasnąłem drzwiami aż okna zadzwoniły i wyszedłem.— Źle zrobiłeś Panie Jakóbie! rzekł mój dziadunio. Xiądz defnitor jest to pobożny kapłan, i dla mnie życzliwy. Cokolwiek on radził to z dobrego serca. Wié on że ja, jako chrześcijanin zaufany w miłosierdziu Boskiém,

śmierci nie obawiam się, a co do *ceremonji* pogrzebowych, dawno już wszystko to rozporządziłem. Testament mój znajduje się u mojego kochanego sąsiada Pana Marszałka, i w jego też ręku ubogie moje za duszę ofiary, które wszystkie *in paratis* zostawuję.....

— Ja poszlę po doktora! ozwał się Pan Jakób.

— A Doktor mnie na co? jam zdrów, we mnie nie ma żadnej choroby;.. tylko.... koniec życia; a na to.... nie ma lekarstwa!

Jegomość nie umrzesz! zawołał znowu Pan Jakób, którego serce było teraz na ustach; jegomość nie umrzesz! mówił płacząc rzewnie, bo kiedy jegomość umrzesz, to i ja umrę; a nie, to pójdę piechotą choć za morze do Jerozolimy, jak Xiąże Sierotko, modlić się za duszę jegomościa!— Nie potrzeba tak dalekiej peregrynacyi Pańie Jakóbie. Na

każdém miejscu módl się i pamiętaj za moją duszę.

— Jegomość będziesz w niebie! Dali-bóg będziesz w niebie! Jegomość taki pocziwy człowiek! A kiedy dusza potrzebować będzie pomocy, to jegomość mnie pokaż się; ja nie ulęknię się; albo przyśnij się mnie jegomość; to ostatnią kapotę przedam, a sprawię exekwie! obaczysz jegomość!!!

Płakał Pan Jakób choć bredził: dziadunio jednak pojął przywiązanie jego do siebie, chociaż tak szczególnie i dziwnie na życie i śmierć objawiane.— No, dość tego kochany Panie Jakóbie, rzekł on, odprowadźcie do łóżka, bo nogi moje drętwieją i jakiś dreszcz po ciele przechodzi..... układł się. — Wyszedłszy z Panem Jakóbem, zapytałem go, o jakim to xięciu Sierotce wspominał?— Ot imainacya! odpowiedział. Był jakiś pogański xiąże, o którym pisze, podobno w tysiąc

nocy, który długo wędrował po całym świecie, i zaszedł aż do Jerozolimy, a nazywał się *Sierotko*: Pan Skarbnik wie o tém od deski do deski, ale ja tego dobrze nie pamiętam.

W środku rozległej i otwartej okolicy, którą zielonym szpalerem przedziela wielka droga, wiodąca w głębsze krainy północnej Litwy, na wzgórzu panującym nad całym obszarem, wznosi się kościół murowany, ku któremu z różnych stron, głębokiemi koleinami poryte i kręto po polach wijące się podchodzą dróżki. Przy kościele drewniany stary klasztor, niegdyś z dziesiątek Jezuitów, dziś na wpół zapadły, i ledwo dwóch więźy pomieścić mogący, a w niejakim oddaleniu dom pocztowy i kilka włościańskich chat — zajmują główne tło obrazu, któremu niskie strzechy domówstwa mojego dziadka, z boku w nie-

wielkiej odległości rzucone, większej jeszcze prostoty i dobitniejszej wieśniaczej dodają barwy.

Odległa od miast głównych okolicą ta, nie ma ruchu, ani zmienną co chwila różnorodności, właściwej ludniejszemu podmiastowemu krajobrazom. Spokojna i łagodna jednostajność, kołysana na falach pięknego zboża, okrywającego szerokie pola, lub zaległa na szarych zagonach poranych błoni—rzadko tu czemkolwiek przerwana bywa!!!—Kiedy niekiedy pokaże się z daleka na gościńcu długi ciąg powózek ruskich i przewlecze się leniwo od końca do końca przez całą przestrzeń widnokągu; niekiedy także błysnie pomiędzy brzozami broń przechodzącej drogą rotę żołnierzy; a kilka razy na tydzień zamgli się na gościńcu w pyle trójka pocztowa, roznosząc w powietrzu echa wesołej trąbki, lub przeraźliwego dzwonka, i dając po-

wód xiędzu plebanowi i jego komen-
darzowi, do odwiedzenia wnet pisarza
pocztowego, lub zaproszenia go do ple-
banii, dla rozwiązania trzech ważnych
kwestyj: kto jechał? gdzie jechał? i co
z tego będzie? Cóż dopiero, gdy pisarz
dodadź może jeszcze, co on mówił? Ileż
natenczas wniosków, sprzeczek i do-
mysłów dyplomatycznych, z nowiny téj
się wyleże? — Lecz w każdą niedzielę
lub uroczystość kościelną cicha ta oko-
lica ożywia się i zaludnia. Wyprosto-
wany od ziemi, i otarłszy z czoła znój
całotygodniowy, lud pospolity wszel-
kiemi drózkami i wielkim szlakiem na-
pływa do kościoła; skrzypią ponerady
i kałamaszki, a wtórują im najczęściej
skrzypki muzykantów, prowadzących
do szluby huczne weselne korowody.
Poszykowane potem na placu kościel-
nym w osobne obozy, tłumy różnowzore
i rozmaite pieszych i konnych przyby-

wają, mieszczą się i czepią około płotów, oczekując w gwarze i natłoku rozpoczenia nabożeństwa. Nakoniec dążą bryczki i torują drogę dla pięknych koczowników, przybywających najpóźniej, i jak kosze kwiatami, płcią piękną napełnionych.

Trzydzieście lat dziś się dopełnia, i powraca po raz trzydziesty dzień ósmy czerwca, gdy tenże sam obraz, i téjże saméj okolicy, ożywionéj jako i dziś uroczystością *Bożego Ciała* przedstawiał się memu zasmuconemu oku! Uprzedzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek, leżał teraz słaby na łóżku. Przepędził on noc bezsenną, zrana zaś dopełniwszy z najtkliwszą pokorą i skruczą wszystkich religijnych przedzgonnych obrzędów — w cichém zebraniu ducha oczekiwać zdawał się ostatniej chwili....

Sprawiedliwie tylekroć porównano

życie ludzkie przy schyłku do dogorywającego płomienia! Nagły wicher zdmuchnie go często przy samém zaleniu się; gwałtowna ulewa zagasi go nieraz, gdy jeszcze jasno się pali... i to jest życie przerwane na początku, lub w połowicy! Lecz naturalnym biegiem zbliżające się życie do końca, tém podobniejszem jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę, i z niej jeszcze jasnym, choć na krótko, błyskającego ogniem! Tak dusza ostatnich sił zwałalonego ciała użyje, na przedłużenie życia; ostatnią kroplę zastygającej krwi zmusi do biegu; z ostatniej cząstki piersi wysili odechnienie, i zaświeci jeszcze w oczach, w mowie, i w jasnym pojęciu; a gdy zda się potém że już jój nie ma, znowu się objawia na nowo.... i na nowo niknie! — Mniemaćby można, że starość ma uzbierane zapasy życia, i najtajemniej w rozmaitych kryjówkach, jak

skarby u skępcy ukryte, które na ostatnią chowa potrzebę, i które wydaje powoli i najoszczędniej, otwierając po jednej, aż póki najtajemniejszą wyczerpie..... natenczas koniec!

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój' dziadunio; zdawało się że nie mniemał tak bliskim zgonu, jakieśmy sądzili. Tymczasem od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć jak zwyczajnie w to święto wielką processją do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy.— Uderzenie we dzwony dało znać wyjście processyi z kościoła i obudziło staruszkę.— Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? zapytał on u mnie: corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrującego w processyi, do stacyi przy własnym krzyżu przybranój, i te solenne odwiedziny, gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu

zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany, odpowiedziałem.
— No! to imnie wstać, ubrać się, i wyjść pomóżcie!. ..

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczora, wywłókł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podaném sobie szerokim swoim krześle, i czekał z wypogodzonym zupełnie obliczem processyi. — Wkrótce też ogromnym chórem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierw niej nota a potem pieśń:

*„Niebo! Ziemia! świat i morze!
I co tylko w was bydz może!
Jak najgłębiej upadajcie,
Poklon Panu z nami dajcie!”*

Wzruszył się mój dziadunio z miejsca chcąc upaść na kolana. Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomódz musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i

wspierać klęczącego. Ukazał się najprzód z daleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a niesiony przez Pana Jakóba, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie; zbliżały się potém gęste ognie jarzące w rękach kapłanów, bractwa, i dziatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody: postępował w środku xiądz pleban pod baldakimem, niosąc w ręku wzniesione nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogate *Monstrancyum*, okryte wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych..... Któż nie zna porządku, powagi, i wspaniałości uroczystych processyi? Lecz komuż miłém nie będzie, jako i mnie piszącemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

Zuienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza: tryumfalnym tonem i słowami

wami umyślnie na tę uroczystość złożonými, obwieszcza się przyjdzie PANA:

*„Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!
Idzie, Sędzia sprawiedliwy!
Stanąwszy pięknym kolem,
Uderzmy wszyscy czołem!*

O mój Boże! zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się processyi— o mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie!... ja przed Sąd Twój stanę natychmiast! O mój Boże! zmiłuj się nademną!!! —

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krześle. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątłone, mowę mu odjęło; łzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły że przytomny zupełnie, nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.—

Po odśpiewaniu Ewangelii ruszyła nazad processya, i zabrzmiały znowu słowa:

„*Idzie! Idzie! światłość wieczna!*

Idzie! Idzie! moc przedwieczna!

Stanąwszy pięknym kołem!

Uderzmy wszyscy czołem!

O! nigdy nie zapomnę twarzy naten-
czas mojego dziadka! na mojej młodej
wyobraźni został jój obraz na zawsze!
Cała reszta życia zebrała się mu na o-
blicze, a życie to było już tylko samą
miłością ku Bogu, i pragnieniem połą-
czenia się ze *światłością wieczną*, któ-
ra oddalając się, ciągnęła duszę jego za
sobą!!! Podniósł on znowu ręce za pro-
cessyą, i nakoniec odpadł na krzesło!,....
odniesliśmy zemdlonego na łóżko, bez
nadziei aby raz jeszcze wrócił do ży-
cia.— Tymczasem, najrychlej jak mógł,
po nabożństwie, przybył xiądz pleban:
starzec mało młodszy od mojego dziad-
ka, kilkadziesiątletni jego przyjaciel,
codzienny współnik życia, zabaw i to-
warzystwa, a jako stróż sumnienia, po-

wiernik wszystkich myśli i zamiarów.— Za nim xiądz definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów.— Pan Jakób pierwiej przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny, i zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Xięża ostąpili łóżko, i gdy jeszcze jakiegokolwiek ślady życia dawały się postrzeżać, rozpoczęli modlitwy nad konającymi zwykle odmawiane; ja nakoniec, drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi.....

Wtém, odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszymi; otworzył oczy, i powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających..... wziął potem za rękę xiędza plebana, i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił: Dziękuję tobie mój ojczy, że mnie nieopuszczasz w tym ostatnim terminie.....— Błagałem Boga przy

ołtarzu, rzekł proboszcz, o zdrowie dla
 ciebie kochany Panie Skarbniku, i pro-
 siłem wszystkich parafian, aby także
 modlili się za twoje zdrowie..... Ach!
 mój ojczy! niechby się wolój modlili za
 moją duszę!.... poszlicie po moich chłop-
 ków, trzeba mnie i z nimi się poże-
 gnać.....— Nie trzeba było posyłać, wszy-
 scy oni z nabożeństwa prosto zaszli do
 dworu, i w sieniach czekali niespokoj-
 nie co się stanie z ich ukochanym panem?
 Otworzono więc drzwi i napelnili izbę
 włością. Odwrócił ku nim głowę
 mój dziadunio, i mówił jak mógł naj-
 dobitniej:— Moje dziatki! Umiéram ja!
 Żegnam was i błogosławię..... i was i
 dzieci wasze... i chudoby... i chatki
 wasze!!! Dziękuję wam za waszą ży-
 czliwość dla mnie! i za pracę waszą! i
 za chléb!... — Przerwał się głos starca,
 odpoczywał i zbierał ostatnie siły... —
 Darujcie mnie, jeżeli którego z was

nimowolnie ukrzywdził!... Darujcie dla miłości Boga!!! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na Sąd straszny zapozwam!!!—Te ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł....

Włóścianie żalem przejęci, nie wiedzieli sami co czynić? Jedni łzami zalani poklękali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którem umierający był nakryty; drudzy uchyliwszy głowy ku ziemi, klęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków; jest to u nich znak głębokiego uwielbienia i adoracyi: inni popadali krzyżem na ziemię przy Panu Jakóbie i odmawiali z nim litanie!

Nakoniec mój dziadunio skinął a-bym się zbliżył i ukląkł: wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole... powtórzył go

raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nademną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzą zasły... i ręka z głowy méj spadła.... Raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił i do ust go swoich przyłożył, lecz przywarć ust i ucałować krzyża już nie mógł; tak więc z krzyżem na ustach zostawał..

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, xiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i własnémi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem: — Polecaj się Bogu chrześcijaninie! a stojący obok xiądz definitor dodał ponuro: — Wychodź duszo chrześcijańska!!! — Zadrzałem na te wywoływające słowa!!!. Ściśnienie ręki proboszcza i gromnicy, dało poznać że jeszcze żył konający!.... Głębokie po-

tém milczenie opanowało izbę, łązy ciekły po licach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał..... Anioł śmierci już był pomiędzy nami!!!. W tym xiądz pleban uchylił się nad konającym. Po chwili podjąwszy głowę, wznosił oczy ku niebu..... i zdmuchnął gromnicę!!!—

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przecucia mojego dziadka!— Oto kamień mchem porośły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa: „Żył pocziwie! wierzył po prostu! Umarł spokojnie!”

PEDAGOGICZNA BIBLIOT

10874

A 10874



T.1
WRO0069438

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu



T.2
WRO0180450